Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV Łódź, 14 grudnia 1947 r. Nr 48 (127)

W NUMERZE:

Rozalia Rybacka

ROZMOWA U STAREJ ZASŁONY

(Na śladach tradycji P. S. L-u)

... z doświadczeń przeszłości należy czerpać naukę na przyszłość
„Przyjaciel Ludu" r. 1907

Długo wahałam się, czy odpowiedzieć p. Lasockiemu, czy też ze względu na jego wiek sędziwy pozostawić go w spokoju. Ale rozmowa starych ludzi o przeszłości przyda się „dla nauki na przyszłość". Rozmowa właściwie już rozpoczęta. Do napisania szkicu biograficznego o Andrzeju Średniawskim („Wieś i Państwo" Nr 5/6) pobudził p. Lasockiego artykuł „Na marginesie 50-lecia PSL" („Nowe Drogi" Nr 1), bo, jak powiada, wspomniano tam o Średniawskim „przedstawiając go w bardzo ujemnym świetle".

Nic na to nie poradzę. Gdybym nawet sięgnęła po cytaty do wspomnienia pośmiertnego o Średniawskim pióra W. Witosa — znów światło byłoby „ujemne". Dlaczego? Może na tle budowy Wolnej Polski Ludowej w takim właśnie świetle ukazują się i ukazywać się będą postacie założycieli „Piasta"? Tych, co, jako rozłamowcy, niegdyś strącili naczelne hasła stronnictwa ludowego: „rządy ludowe" i „Wolna Polska Ludowa" w pył przydrożny i zadeptali je w pośpiesznym marszu do Chjeno-Piasta? Może zauważyć to musi nawet p. hr. Lasocki „b. minister", jeden z założycieli „Piasta"?

Nie o tym chcę mówić w tej chwili. Chcę pomówić o zasłonie.

Gęsta zasłona okrywa nie tylko moment założenia „Piasta", ale cały duży i ważny okres historii Ruchu Ludowego w Polsce, poprzedzający ten moment. W mrokach zasłony gubią się początki Ruchu Ludowego i jego źródła. Odcięto przeszłość, żeby nie można było czerpać z niej nauk na przyszłość. Co więcej, przerwano i zmącono perspektywę historyczną przeszłości, perspektywę, która układała się w świadomości mas ludowych i pomagała im wytyczać drogę w przyszłość. A przeszłość — to była pańszczyzna i rewolucja 1848 roku, która ją obaliła i w której lud Galicji przyjmował żywy udział. Z perspektywy historycznej, ze spojrzenia obejmującego nieprzerwaną ciągłość zdarzeń, wynikała dla ludu świadomość tej prawdy, że **rewolucja nie była doprowadzona do końca,** że przywileje polityczne i ekonomiczne możnych, a nędza i poniewierka chłopów i robotników wywodzą się bezpośrednio z feodalno-pańszczyźnianego bezprawia. Stąd poczucie wspólnoty interesów chłopów polskich i ukraińskich („Rusinów") i robotników. Stąd radykalny charakter ruchu ludowego w Galicji, jego siła, karność i bojowość jego szeregów. Stąd cele i hasła Stronnictwa Ludowego, rządy ludowe, Wolna Polska Ludowa, wreszcie „walka i praca... aż zniknie na ziemi naszej, jak długa ona i szeroka, polityczna niewola i wszelaka niesprawiedliwość społeczna". Dlatego też rewolucję rosyjską 1905 r. lud Galicji powitał z uniesieniem; w odblaskach tej rewolucji Stronnictwo Ludowe we wspólnej z socjalistami walce zdobyło powszechne prawo głosowania do parlamentu wiedeńskiego. Ale wówczas też, w tych samych odblaskach, obrońcy ustroju kapitalistycznego dostrzegli grożące mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Dostrzegli niebezpieczeństwo wynikające z połączenia chłopskiej świadomości przeszłości z robotniczą świadomością przyszłości. Takie połączenie dać mogło jasną perspektywę historyczną, prostą drogę i wielką siłę rewolucyjną. Dlatego partia kontrrewolucyjna, jaką już wtedy była w Galicji endecja, przeciwdziałała temu ze wszystkich sił, wszelkimi sposobami. W r. 1913, w przełomowej bodaj chwili walki o powszechne prawo wyborcze do Sejmu Galicyjskiego, udało jej się częściowo ruch ludowy złamać, częściowo sprowadzić na manowce. Od tego czasu, żeby mu utrudnić odnalezienie prostej drogi, żeby zmącić perspektywę historyczną, stara się grubą **zasłoną kłamstw i legend zakryć przeszłość ruchu ludowego** i zasłonić zdradziecki zakręt na rozstaju — **założenie „Piasta".**

I jeszcze do tej pory, jeszcze teraz, czujni stróże strzegą zasłony przed ciekawym okiem śmiałka.

Zaniepokojony tym, że poruszono zasłonę dymną, kryjącą źródła i sprężyny powstania „Piasta", p. Lasocki rozsnuwa jeszcze zapasowy dymny obłoczek. Stara się wmówić w czytelnika, że rozłam i zniszczenie silnego stronnictwa ludowego w r. 1913 dokonane były w obronie przed... projektem kurii średniej własności! Byłoby to śmiechu warte, gdyby nie było obliczone na ludzką łatwowierność. Według ówczesnej statystyki kuria średniej własności obejmowałaby, zdaje się, około 30 ludzi na powiat i 4 mandaty polskie na cały kraj. Projekt ten wysunięty był chyba po to, żeby było co ustąpić w toku rokowań. Pies z kulawą nogą o niego nie dbał. A przyszłych rycerzy „Komisji Rządzącej" i Chjeno-Piasta oburzyć miał ten projekt do tego stopnia, że rozbili stronnictwo! Nieprawdopodobna historia. Zbadajmy ją bliżej. Zawezwijmy bezstronnego i wiarogodnego świadka — pierwsze numery pisma „Piast". Ten świadek wskaże nam przyczynę rozłamu. W Nr 2-im (w pierwszym po rozłamie) z dn. 21 grudnia 1913 r. o posiedzeniu Rady Naczelnej w Rzeszowie mówi się tak:

„Nie skończyło się pohańbienie PSL na tym uchwaleniu rozgrzeszenia dla p. Stapińskiego za jego wstręt budzącą politykę. Stapiński postanowił Stronnictwo **unurzać w błocie aż do skutku i oświadczył publicznie, że w dalszym prowadzeniu PSL pójdzie razem z socjalistami i postępowcami** (czytaj **Żydami**)". (Podkreślenia „Piasta" — R.).

Oburzenie założycieli „Piasta" jest zrozumiałe. Tym bardziej, że to oświadczenie poprzedzone było wspólną z robotnikami i postępowcami akcją. W kwietniu 1913 r. odbył się we Lwowie wielki wiec z górą 10.000 chłopów i robotników w hali „Pałacu Sportowego" i wspólna demonstracja ludowców, socjalistów, Demokracji Postępowej i Ukraińskiej Partii Radykalnej. Wysłano do sejmu delegację, która mówiła nie o „kurii średniej własności", ale o powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim głosowaniu. Na dobitkę oprócz oświadczenia była uchwała Rady Naczelnej, zalecająca posłom — nie dopuścić do uchwalenia w Sejmie planu finansowego, póki nie ma reformy wyborczej. Nie ulegało też wątpliwości, że posłowie ludowcy wystąpią z Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim. I że ustąpić powinien minister - ludowiec, nawet gdyby to był prawdziwy ludowiec, a nie Długosz — aferzysta naftowy.

I właśnie wówczas, gdy nastąpił dawno zapowiadany zwrot, gdy stronnictwo po pięcioletnich jałowych próbach kompromisów powracało na drogę zdecydowanej i wspólnej z robotnikami walki, dosięgnął je cios — dawno, długo i cierpliwie przygotowywany przez endecję — rozłam.

O tym, że był przygotowywany przez endecję świadczą wypowiedzi nawet tych posłów ludowców, którzy potem zostali piastowcami. Naprz. Józef Jachowicz, sekretarz klubu poselskiego ludowców, pisał 29 marca 1911 r.:

„Metoda działania wszechpolaków (t. j. endeków — R.) polega na tym, aby każdego, kto im ulec nie chce, albo zupełnie złamać, albo ubezwładnić do tego stopnia, iżby im nie przeszkadzał. Ludowcy są wszechpolakom cierniem i solą w oku. Zwłaszcza prezes Stapiński jest im straszną przeszkodą w ich samolubnych planach. Dlatego wytężali wszystkie siły, aby nas albo złamać, albo rozbić i osłabić tak, aby się nas ani obawiać, ani wystrzegać nie potrzebowali. Przy tym ustawicznie zapuszczali sieci pomiędzy nas, aby nas ludowców między sobą poróżnić i rozbić.

Czegóż zresztą więcej potrzeba na dowód ich intryg, jeżeli kolega Ruebenbaer posiada w ręku listy prezesa wszechpolskiej grupy Ptasia, w których to listach zachęca p. Ptaś do obalenia prezesa Stapińskiego, a obiecuje w tym pomagać przez wpływanie na innych posłów-ludowców. **Józef Jachowicz".**

Więc w marcu 1911 r. ci posłowie ludowcy jeszcze się opierali endeckim zamysłom. Ale w czerwcu były wybory do parlamentu wiedeńskiego, po których machinacje endeckie w Klubie Ludowym znalazły oparcie wewnątrz Klubu. Z 24 posłów-ludowców tylko 18 miało mandaty z woli swego stronnictwa. (I wśród tych dla zachowania „jedności" otrzymali mandaty różni „niezadowoleni"). Reszta przeszła samowolnie przeciw kandydatom ludowcom, podając się za ludowców i po zdobyciu mandatu składając rzewne oświadczenia miłości dla ludu i posłuszeństwa dla stronnictwa. (Przy wyborach w Austrii głosowano na ludzi, a nie na listy). W ten sposób weszli do Klubu ludowców późniejsi założyciele „Piasta": Włodz. Tetmajer, hr. Rey, sędzia Banaś, nawet Jedynak... Z wyborów endecy otrzymali tylko 9 mandatów zamiast poprzednich 14-tu, ale za to mieli wzmocnioną bazę w Klubie ludowców. Ze zdwojoną siłą przystąpili do kampanii intryg i oszczerstw. Bo głównym celem ówczesnej działalności endecji w Galicji było opanowanie lub złamanie Ruchu Ludowego. Słusznie była endecja („wszechpolacy") uważana przez stronnictwo ludowe za najgorszego wroga, za „największą i najniebezpieczniejszą przeszkodę" na drodze do rządów ludowych. W myśl Kongresu z 1910 r. „ludowcy ze wszystkimi stronnictwami w kraju łączyć się mogą, ale nigdy z Wszechpolakami".

Wróg ten ufortyfikował się na najtrwalszej pozycji obronnej reakcji — na ciemnocie, walczył najstraszniejszą bronią — podstępem, obłudą i kłamstwem. Na tę pozycję przeszli do obozu wroga założyciele „Piasta" ze swoją świtą i pismo ich „Piast" przemówiło językiem tych, „co lud tumanią i z niego drwią".

Pierwsze numery „Piasta" nie mówią ani o powszechnym prawie głosowania, ani o rządach ludowych, ani o Wolnej Polsce Ludowej; zamiast tych haseł wskazują masom inny cel — walkę o sklepiki i stragany żydowskie. (Patrz Nr 1 „Piasta" z 4.1.1914 r. artykuł-odezwa w stylu pogromowym pt. „Ludowcy a Żydzi").

Jeśli chropawe, drobnym drukiem zapełnione, kartki „Przyjaciela Ludu" tchną wiarą w przyszłe i niezawodne zwycięstwo sprawiedliwości społecznej, to z glansowanych ilustrowanych stronic ówczesnego „Piasta" przebija raczej wiara w ciemnotę ludu, w to, że długo jeszcze można go bezkarnie oszukiwać... Oto tłumaczy się tam czytelnikom mniej więcej tak: jesteśmy stronnictwem radykalnym, a także, bardziej niż socjaliści, bo oni nieraz postawią w Sejmie wniosek i pozwalają mu upaść, a my jak postawimy wniosek, żeby, naprzykład, przeprowadzić drogę w jakiejś gminie, to nie pozwolimy mu upaść; czy idziemy razem z endecją? Cóż znowu! jesteśmy przecież dosyć silnym stronnictwem, żeby nie iść z nikim; co to jest socjalizm? — Jest na półkach księgarskich taka gruba i naukowa książka, a w niej jest naukowo dowiedzione, że socjalizm to żydowski wynalazek... itd. itd, a wszystko w pierwszych numerach „Piasta" z 1914 roku. I wszystko przykryte nazwiskiem starego Jakuba Bojki, którego druga dusza, ta pańszczyźniana, zgodziła się na to za cenę miana prezesa i naczelnego redaktora.

Czy jednak ta wiara w ludzką ciemnotę i łatwowierność nie zawiodłaby założycieli „Piasta", gdyby nie przyszła im na pomoc wojna? Gdyby nie wybuch wojny, zamknięcie „Przyjaciela Ludu" w roku 1914, rozproszenie jego czytelników — nigdy nie udałoby się twórcom „Piasta", ani tak umocnić swej pozycji, ani otoczyć tamtych tak gęstą zasłoną dymną. I tak, pod koniec wojny, w zaraniu niepodległości, musiał p. hr. Lasocki, jako szef administracji piastowo - endeckiej „Komisji Likwidacyjnej" i „Komisji Rządzącej" podeprzeć tę wiarę za pomocą stanów wyjątkowych, pacyfikacji, egzekucji po 25 i 50 kijów na chłopa. Ale o tym potem.

GRUDZIEŃ 1947 r.

7 – 8	Rada Naczelna Stronnictwa Ludowego
6 – 8	Pierwszy Krajowy Zjazd Związku Walki Młodych
14 – 17	XXVII Kongres Polskiej Partii Socjalistycznej

Helena Brodowska

Dawna i obecna funkcja szkoły

1. KOMISJA EDUKACJI NARODOWEJ

Początkowa data powstania szkoły ludowej w Polsce—to 1773 r. — wtedy to Jan Wilerdz, 20-letni młodzieniec, syn ubogiej wdowy jechał z Kielc do wsi pod Częstochową, aby objąć posadę nauczycielską. W roku tym poczta królewska rozwozić zaczęła nauczycieli wyznaczonych przez Komisję Edukacji Narodowej do różnych miejscowości. Na skutek przeprowadzonej w tym czasie kasaty bogatych dóbr jezuickich otwierały się miejsca na szkółki wiejskie. Sąsiadować one musiały z kościołem, gdyż najczęściej umieszczano je w domach parafialnych. Otrzymały nazwę: **„szkółek parafialnych"**. Nazwa wynikała zarówno z terytorialnego zasięgu szkółek wiejskich, jak i społeczno-kulturalnej funkcji, jaką im wyznaczono. Celem szkółek — według drugiego paragrafu przepisów dla szkół parafialnych było — „oświecanie około religii, około powinności stanu jego, około robót i przemysłu, w tymże stanie" — a dalej szkoła miała pouczyć, „jako i dlaczego podległym być należy". Fr. Bieliński, członek Komisji, który w piętnastu listach opisał sposób edukacji wprowadzonej przez pierwsze w Europie Ministerstwo Oświaty — żądał należytego oświecenia ludu, aby mógł umiejętnie chodzić — około roli i **dobytku „swego pana"**.

Komisja Edukacji Narodowej nie miała dostatecznej możliwości subsydiowania szkół parafialnych i zakładania ich. Zadanie to powierzono dobrej woli i hojności obywatelskiej panów dziedziców.

Typową reprezentantką grupy „dobrych panów", którzy myśl zakładania, a nawet prowadzenia szkółek dla ludu podjęli, była księżna Izabella Czartoryska z Flemingów. Zaślubiona w 1761 r. z Adamem Kazimierzem generałem ziem podolskich w roku wydania Ustaw przez K. E. N. była już w pełni możliwości realizowania ich.

Szkoła K. E. N. pomimo, że uległa zeświecczeniu jednak wysunęła naprzód **obowiązek miłości Boga**, potem Ojczyzny.

Szkoła, **w dalszym ciągu kultywowała cnoty rycerskiego wychowania** uszanowania wobec dam, odwagi w boju i ludzkości w pokoju.

Pomimo, że intencje twórców K. E. N. zmierzały do wyprowadzenia chłopa z poddaństwa i pańszczyzny, szkoła Izabelli Czartoryskiej nie zapominała o ćwiczeniu dzieci wieśniaków swoich wsi w posłusznej uległości wobec pana i żarliwym obowiązku spełniania wszystkich przypisanych jemu powinności. Wieśniak nie mógł nie wiedzieć, kim jest i jaka jest jego rola społeczno-obywatelska, bo katechizm ułożony przez Ks. Czartoryską pouczał go dość jasno o tym, że jest wieśniakiem „który robiąc koło roli pracą swoją żywi kray, pana — potem — siebie, żonę i dzieci".

Odwołując się do tego, co już socjolog powiedział o pierwszych szkołach, że „wyrastały z potrzeby przygotowania pewnej części grupy do obcowania i pełnienia funkcji względem obcych" (J. Chałasiński — Wychowanie w domu obcym str. 212), określamy społeczną funkcję pierwszych szkółek wiejskich w Polsce: pierwsze, świeckie szkoły wiejskie, podobnie jak uprzednio szkoły prowadzone przez kościół i szkoły szlacheckie, przygotowywały młodzież chłopską do pełnienia funkcji społecznych, nie uwzględniających potrzeb społeczności wiejskiej.

Szkoła wiejska wyrosła w strukturze społeczno-gospodarczych form pańszczyźnianych. Pomimo nowatorskich akcentów pedagogicznych i dydaktycznych, jakie usiłowała wprowadzić K. E. N., szkoła kształtowała się drogą dorównania do systemu, ugruntowując tradycyjno - stanowy podział społeczny na grupę „panów", których musiała żywić grupa chłopów im poddanych.

IDEAŁ SZKOŁY WIEJSKIEJ W DOBIE KAPITALIZMU AGRARNEGO

Pokazać szkołę wiejską w związkach z nowym systemem społeczno-gospodarczej rzeczywistości polskiej w dobie popańszczyźnianej nie jest łatwo. Tym bardziej, że sytuacja polityczna, w jakiej znalazła się Polska po rozbiorach, gdy wkraczał doń kapitalizm, przesłoniła obraz nowej struktury klasowej. Myśl niepodległościowa wykwitająca po przez powstania torowała drogę idei narodowej przesłaniając często społeczną.

W aspekcie kultu dla narodu kształtowała się szkoła wiejska obok szkół w mieście.

Wieszcze przestrogi podnosiły znaczenie warstwy chłopskiej — „żadne się społeczeństwo nie ostoi i żaden naród nie utrzyma, gdy przez pracy harmonię tradycyjną powiązane z sobą słowo lud i słowo społeczeństwo w dwie się strony rozprzęgą". (Mickiewicz).

Filozofowie i pedagodzy wyrośli na filozofii „natury" wnoszą do romantycznej teorii społeczeństwa swoiste pojęcie ludu: „Masy ludu to róla, po której rzucone z góry nasiona wschodzą, kwiatem się rozwiną i owoc wydadzą." Albo: „Lud jest pniem dębu" — narodowego. W tej apoteozie ludu wypowiedziane przez K. Libelta człowieka, który wywarł duży wpływ na rozwój pedagogicznej myśli polskiej kształtowała się funkcja społeczna szkoły wiejskiej.

Kapitalistyczna zasada wolności kupna i sprzedaży majątków, usuwała dawną pańszczyźnianą zasadę patriarchalnego stosunku pomiędzy kmiotkiem a panem. Nowonabywca kapitału, uważał wioskę nabytą wraz z ludźmi wprost za swoje narzędzie kapitalistycznej maszyny produkcyjnej. Postęp rolniczy musiał być wprowadzony, szkoła stawała się koniecznością nie do ominięcia. Zwłaszcza, że w miarę rozwijania się kapitalizmu dochodziły naciski idei socjalistycznych domagających się szkoły dla wszystkich. W życiu codziennym i w stosunkach ekonomicznych pomiędzy dworem, a wsią panować zaczęła szkoła zdzierstwa i wyzysku. „Chłopi płacili asekurację i gdy wieś spłonęła, pan pieniądze odebrał, a chłopom kazał się wybudować!" — pisze Lubieński. Narastały konflikty ekonomiczne, pogłębiały się antagonizmy pomiędzy dworem, a wsią. Sytuacja polityczna Polski wymagała natomiast solidarnej jedności narodowej. Idea narodowa poczęła bazować na filozoficzno-etycznych koncepcjach domagając się od ludu wysoce moralnej postawy i kulturalnego dorównania do warstw oświeconych.

Szkoła kształtowana z jednej strony przez władze zaborcze, z drugiej przez wyższe warstwy społeczeństwa polskiego miała sprostać owym potrzebom. Zadanie stawało się niewykonalne. Władcy rządzący krajem zabranym wydali ukazy domagające się od szkół elementarnych, ażeby były „silną podporą do zachowania publicznej spokojności i porządku". Szkoły początkowe miały zaszczepiać w duszach dzieci przywiązanie do władców „opiekujących się" krajem, miały uczynić je odpornymi na wszelkie podszepty „buntowszczyków, marzących o niepodległości".

Narodowa zaś sprawa polska wymagała właśnie tego „podszeptywania". Droga szkoły polskiej prowadziła w podziemia. Postawiła ona sobie obowiązek urabiania filozoficzno-moralnej postawy wychowanków wobec spraw narodowych, **nie zauważając narastających konfliktów społecznych.** Szkoła pierwszej doby kapitalizmu agrarnego sięgnęła po znane wzory społeczno-osobowe kościoła i dworu. Oparła się znowu jak w XVIII w. o dwór i plebanię zamykając drzwi przed tym wszystkim, co szło z dalekiego świata, od wyzwalających się narodów. Kapitalizm wkroczył na wieś zmieniając jej sytuację ekonomiczną i strukturę społeczną, a szkoła została nadal z dala od społecznych procesów. Utworzone dozory szkolne, czy jak po 1830 opieka szkolna, zlecana była z reguły księdzu proboszczowi z uprawnieniami wglądu we wszystko, co robił nauczyciel. Ustawy szkolne wyraźnie mówiły, że powstawać mogą szkółki ludowe, tylko w tych wsiach, które o to prosić będą i przedstawią potrzebne środki na ich utrzymanie. Oczywiście — ludność wieśniacza o szkoły się nie upominała. **Nauka podawana dzieciom wiejskim w szkole w świadomości samej wsi na nic nie była przydatną.** Jeszcze od pokolenia młodych, wypowiadających się w dziele J. Chałasińskiego, wiemy, że starsze pokolenie chłopów żywiło dużą niechęć do szkoły.

O szkołę zabiegał ten, kto widział w niej własny interes, „dobry dziedzic". Program szkółek elementarnych, obejmujący naukę religii, historii świętej, czytania drukowanych książek i rękopisów polskich, pisania i czterech pierwszych reguł arytmetyki, łącznie z wiadomościami o miarach, wagach, pieniądzach i maszynach rolniczych gospodarstwa wiejskiego, dopomagał do stabilizowania się na wsi systemu kapitalistycznego w interesie wielkich posiadaczy.

Szkoła ludowa pozostawała pod czujną strażą pana, który kapitalizując się, posługiwał się wszystkimi rozporządzalnymi środkami, ażeby lud uczynić narzedziem celów swojej grupy społecznej.

Wychowanie w religijnej uległości i pokorze, oraz kształcenie w rzeczach potrzebnych rolnikowi nie uchybiało w niczym naczelnej funkcji, jaką w tym okresie historycznym szkole wyznaczono.

Szkoła dla ludu — musiała utrwalać stanową chłopskość i pilnie strzec, aby chłop nie odważył się odrywać od wsi.

Tego wymagał interes dworu, potrzebującego wielu rąk roboczych, zwłaszcza że intratniejszym okazało się zakładanie gorzelni, cukrowni, browarów, zakładanie plantacji chmielu i chowanie owiec, aniżeli obsiewanie pól zbożem. Przejście na gospodarkę uprzemysłowioną i wyspecjalizowaną wymagało rąk, nie oświeconych głów robotników.

Pod koniec XIX w. na terenie Galicji było nauczycieli wraz ze zbratanym sobie duchowieństwem 10.000, a arendarzy prowadzących karczmy 20.000.

Na ogólną liczbę 925.000 dzieci szkolnych w Galicji w 1890 r. do szkoły mogło uczęszczać tylko 515.000, a bez nauki chodziło rocznie około 410.000.

Instrukcja Rady Krajowej z 1893 r. wyraźnie ograniczała zakres nauki i rolę szkoły ludowej. „Nie powinna szkoła ludowa odwracać umysłów młodzieży od stosunków, wśród których młodzież ta wzrasta i budzić w niej żądzy wydobycia się z tych stosunków, żądzy sztucznej, dla ogółu do osiągnięcia niemożliwej, pozostawiającej po sobie najczęściej **gorycz i niechęć do pracy**, a szkodliwej dla społeczeństwa. Nie mogąc udzielić młodzieży fachowego wykształcenia, **może jednak szkoła ludowa oświecić młodzież o warunkach i zadaniach jej przyszłych zawodów** i osiągnąć cel dwojaki, **najpierw ułatwić jej pracę praktyczną przez nabycie różnych wiadomości, a następnie wzbudzić szacunek i przywiązanie do pracy, dać (jej) zadowolenie wewnętrzne**, które jest najlepszą rękojmią społecznego ładu".

3. PROBA STWORZENIA SZKOŁY CHŁOPSKIEJ

W dobie kapitalizmu przemysłowego i finansowego szkoła powszechna nie uległa bardziej zasadniczym zmianom. Dostosowana do ustroju kapitalizmu agrarnego utrzymywała się na wsi w dawnych wzorach społeczno-osobowych kościoła i dworu, nie mogąc sprostać nowym potrzebom rozwijających się miast i miasteczek przemysłowych. **Rozdźwięk pomiędzy szkołą w mieście, a szkołą na wsi pogłębił się w tym okresie.** Miejska szkoła powszechna organizowała się jako podstawa średniej szkoły ogólnokształcącej. Wieś nie wciągnięta w procesy tworzenia się nowych form produkcyjnych i nowej kultury kapitalistycznej stanęła na uboczu. Od czasu do czasu uderzona kryzysem, czy nową obniżką cen płodów rolnych, zdobywała się na szkołę powszechną, która mogła być szczeblem wstępnym najwyżej do seminarium nauczycielskiego i duchownego.

Pomimo że w okresach rozwijającego się przemysłu zaistniały możliwości odpływu dla bezrolnych i małorolnych z przeludnionych wsi i gospodarstw, wieś nie podejmowała ich skwapliwie. Droga wyjścia ze wsi nie była dla chłopa łatwa. W. Kula pisze: „Przejście (ze wsi) do przemysłu, czy też emigracja połączone były z trudnościami olbrzymimi i co najważniejsze, nie dającymi się przewidzieć i wymierzyć". Droga wyjścia ze wsi nie była dla chłopa łatwa. Wiemy o tym z wielu autobiografii chłopskich synów, ich wspomnień i pamiętników. Pomimo to szkoła była jednym z warunków nie do ominięcia dla indywidualistycznych dążeń do wyjścia ze wsi na „pana".

Idea wychowania narodowego z okresu zaborów zastała zastąpiona w okresie międzywojennym ideą wychowania obywatelskiego. Nauka historii Polski i języka ojczystego zawsze temu celowi służyły.

Co nauka tych przedmiotów dawała dziecku wiejskiemu? Odpowiedź znajdziemy w IV tomie Młodego Pokolenia Chłopów J. Chałasińskiego, w przeglądzie podręczników używanych w szkole przedwojennej. Np. z podręcznika dla V klasy szkoły powszechnej pt. „Dzisiaj i dawniej na ziemiach polskich" Janiny Schönbrenner dowiadywał się uczeń: że „Polska była własnością księcia, nie ludności; on mógł ziemię rozdawać, dzielić ją pomiędzy swych synów, tak jak np. dzisiaj właściciel wsi może ją podzielić między swe dzieci". Dalej dowiadywał się, że „zupełnie inaczej wychowywał się syn wieśniaka, inaczej syn rzemieślnika lub kupca, jeszcze inaczej syn rycerza".

O chłopach jako grupie społecznej dowiadywał się, że „zaopatrują oni miasta i osady fabryczne w żywność — zapełniają szeregi wojska najzdrowszym i najwytrwalszym żołnierzem, dostarczają innym, wyżej postawionym grupom społecznym dzielnych pracowników". O ziemiaństwie natomiast dowiadywał się, że „posiada wysokie wykształcenie i że spełnia ważne **zadania w naszej gospodarce społecznej!"**

Józef Chałasiński stwierdza w końcu, że szkoła marnotrawiła własny dorobek społeczno-kulturalny. Analfabetyzm zwany wtórnym, był w istocie zjawiskiem pierwotnym, tkwiącym w **analfabetyzmie społecznym samej szkoły.** Szkoła nie wnosiła treści kulturalnych, wiążących się z życiem wsi i jej potrzebami, dlatego też nie budziła żadnego niepokoju intelektualnego u swoich uczniów.

Szkoła społeczności wiejskiej okresu międzywojennego podobnie zresztą jak okresów poprzednich nie dorastała do problemów rzeczywistości społecznej, kulturalnej i politycznej.

W dobie kapitalizmu agrarnego zróżnicowanie ludności wiejskiej poszło w kierunku proletaryzacji. Powiększyła się liczba bezrolnych, którzy stworzyli poważną grupę społeczną tzw. czeladzi folwarcznej. Komorników i wyrobników, przytulonych do samodzielnie gospodarujących chłopów, była ilość nie mała, zwłaszcza na terenie byłej Galicji. Pomiędzy mało, średnio i wielkorolnymi chłopami istniały również poważne różnice nie tylko w warunkach bytowania, ale we wręcz sprzecznych interesach ekonomicznych i politycznych.

Chłop wielomorgowiec łatwiej dogadywał się z księdzem plebanem i dziedzicem, a także z równie majętnym gospodarzem z drugiej wioski, aniżeli z sąsiadem o miedzę, biedniejszym o pięć hektarów chłopem.

Szkoła społeczności wiejskiej kształtowała się poza rzeczywistością chłopską, w obojętności na zróżnicowania występujące na wsi od dziesiątków lat.

Józef Chałasiński pokazał, że ruch młodowiejski pragnął zmieniać szkołę, podporządkowując ją „zbiorowym dążeniom wsi i warstwy chłopskiej". Ruch młodowiejski pragnął widzieć szkołę wiejską w nowej funkcji społeczno-kulturalnej. Ale pragnienie to szło w kierunku **odgrodzenia się** od kultury szlacheckiej i mieszczańskiej. Szkoła chłopska miała dopomóc w wytwarzaniu własnej kultury chłopskiej.

Na tym tle staje się zrozumiała ideologia pierwszych szkół rolniczych, uniwersytetów ludowych i związków młodzieżowych **jako szkół chłopskich.**

Pozaszkolne formy oświaty, jakie młodzież chłopska organizuje, zagrożone były odcięciem od rozwiniętych struktur wiedzy, techniki i kultury narodowej i światowej. Nieświadomie pogłębiały one społeczną izolację wsi, jej pozycję warstwy i stanu*).

Przytłaczający system kultury szlachecko-mieszczańskiej ciążył również na szkole wiejskiej. Pragnąc wyzwolić się od niego młodzież chłopska szukała pozaszkolnych form oświaty.

4. SZKOŁA DZISIEJSZA

Szkoła chłopska, jako synonim swoistego izolacjonizmu i separacji społeczno-politycznej, nie może być wyznacznikiem historycznym funkcji społecznej szkoły dzisiejszej.

Nie może być również, ze względu na zespół treści kulturalnych za jej pośrednictwem przekazywanych.

Zmieniona politycznie i ustrojowo sytuacja ustawiła warstwę chłopską w nowej pozycji społecznej i narodowej. Chłop przestał być traktowany wyłącznie jako przedmiot opieki wyższych warstw kulturalnych, czy też tylko jako przedmiot administracji państwowej. Rola administrowania, gospodarowania i tworzenia nowych wartości kulturalnych została wyznaczona chłopu wespół z robotnikiem.

Zreformowane i na nowych zasadach oparte podstawy gospodarcze państwa zmieniają strukturę społeczną narodu.

Trzy elementy systemu szkolnego: 1) organizacja, 2) treść intelektualno-ideologiczna oraz 3) metoda są środkami społecznego oddziaływania szkoły na młodzież i całe środowisko. Nowoopracowane podręczniki szkolne dostarczają nowych treści nauczania.

Sprawa organizacji nowej szkoły, opartej na zasadzie jednolitości, została rozstrzygnięta w sposób dostosowany do całości społeczno-politycznego systemu. Nie zachodzi obawa o to, że jakaś szkoła typu zawodowego zaprowadzi swojego dyplomanta w „ślepą" uliczkę. Żadne dziecko chłopskie rozpoczynające edukację w najodleglejszym Gołąkowie nie musi pozostawać w tyle w swoim marszu szkolnym w stosunku do dziecka mieszkającego w stolicy. Nie czeka go również praca samouka, gdy zapragnie kształcenia się na stopniu wyższym. Formalno-prawne zapory zostały usunięte.

Fakt przejęcia przez państwo przemysłu i oddania fabryk Radom Zakładowym, to dopiero początek przeobrażeń społecznych. Uspołecznienie przemysłu wypowie się dopiero w całej pełni w uspołecznionym robotniku. Reforma rolna dała dopiero podstawę pod przebudowę społecznej struktury wsi. Muszą przyjść dalsze i dalej idące reformy w prawach własności, w instytucji rodziny, w stosunku do kościoła. Te nowe reformy powinny być podjęte przez szkołę na gruncie zrozumienia reform podstawowych.

Użycie odpowiednich metod kształcenia i wychowania dopomoże osiągnąć pożądany stopień uspołecznienia gospodarstwa i człowieka. Domoże właśnie w stylu życia chłopa i robotnika zobaczyć wartość i istotny sens wszystkich dotychczasowych reform.

J. Chałasiński pisze: „Nowy polski system kształcenia i wychowania musi się oprzeć na uczestnictwie i współdziałaniu całej młodzieży w budowie nowej rzeczywistości polskiej, w realizowaniu wielkich obiektywnych zadań społecznych, kulturalnych, gospodarczych i politycznych Polski ludowej". Szkoła nigdy nie może pretendować do całkowitego zawładnięcia swoim wychowankiem. Przeciwnie, szkoła musi wprowadzić swojego wychowanka w bliski kontakt z instytucjami i urządzeniami życia zbiorowego. Skoro tylko szkoła przygotuje swoich wychowanków do nawiązywania kontaktów w sensie czynnego współdziałania z instytucjami i urządzeniami życia zbiorowego, wejdzie na drogę nie tylko prawdziwie obywatelskiego kształcenia, lecz sama przełamie swoje administracyjno-biurokratyczne odosobnienie.

Należy oczekiwać, iż nowy system kształcenia i wychowania, który pozwoli szkole dzisiejszej spełnić swoją funkcję społeczną wytworzy się właśnie ze współdziałania szkoły z instytucjami życia zbiorowego i z ruchem chłopsko-robotniczym.

Polityczna funkcja szkoły jest jej historycznie wyznaczona. Czy, gdy podręcznik nauki moralności mówił: „zawczasu naucz się być kontent ze swego stanu" — nie wyznaczał politycznej roli szkole utrzymywanej przez szlachtę dla swoich poddanych? Albo, gdy galicyjska Rada Krajowa nakazywała swojej szkole by się stała „najlepszą rękojmią społecznego ładu" — czy nie była to polityka? Czyż szkoła galicyjska chciała wprowadzić ład sprawiedliwości społecznej i w rozdziale dochodu społecznego, czy też po smutnych doświadczeniach 1846 r. chciała przez szkołę zapewnić sobie spokojność chłopów, by już nigdy przeciwko panom nie wystąpili?

Polityczność szkoły w okresie pańszczyźnianym i popańszczyźnianym wyrażała się właśnie w tym, że ksiądz i pleban przekazali przez szkołę tyle, ile leżało w ich własnym czy też całej warstwy władających — interesie. Szkoła była polityczną w stosunku do chłopów, do wsi, była polityczna dla dworu i plebanii. Polityczną funkcją szkoły dziś jest wprowadzenie warstwy chłopskiej w procesy życia kulturalnego całego narodu.

---

*) Patrz szczegółowo J. A. Król „Zadanie dla Wiciarzy", „Wieś Nr 47 (126).

Maurycy Jaroszyński

Samorząd w ustroju kapitalistycznym *)

1) PAŃSTWO „OGRANICZONE"

Na ukształtowanie się w przeszłości koncepcji — i ideologii — samorządu wpłynęły w stopniu istotnym te same przyczyny, które wytworzyły panującą podówczas koncepcję i ideologię samego państwa.

Rozwijającemu się nowoczesnemu kapitalizmowi dogadzała liberalna doktryna państwa ograniczonego. Wolność (formalna i rzekoma) jednostek nade wszystko — oto naczelna zasada, z której wypływa tendencja do ograniczenia zakresu działania państwa do najbardziej koniecznego minimum: w istocie rzeczy do takiego minimum, które by skutecznie broniło podstaw kapitalistycznego ustroju. Wprawdzie władza w państwie należy do panującej gospodarczo klasy, ale wykonywa się ją za pośrednictwem stosunkowo skomplikowanego aparatu i przy pomocy z konieczności rozbudowanej sieci organów różnego rodzaju. Owa pośredniość i skomplikowanie przedstawiają pewien procent ryzyka, zwłaszcza, że w organa państwowe wdzierają się elementy, których zależność od panującej klasy jest nie zawsze zupełnie wyraźna, a nawet elementy wrogie. Dlatego bezpieczniej jest ograniczać, gdzie tylko można i gdzie interes klasowy na to pozwala, zakres działania władzy państwowej, choć w zasadzie i w całości jest ona własną władzą panującej klasy. Bezpieczniej pozostawiać to wszystko, co się pozostawić daje, „wolnej" grze sił, inicjatywie „prywatnej" (choć inicjatywę rzeczywiście indywidualną monopolistyczny kapitał znakomicie dusi), czy inicjatywie „społecznej" (co nie przeszkadza, że niebezpieczne dla panującej klasy przejawy tej inicjatywy tępi się bezwzględnie właśnie przez władzę państwową). Słowem — bezpieczniej pozostawić wszystko, co się da, bezpośrednim wpływom panującej klasy tj. obyć się bez pośrednictwa organizacji państwowej. Równocześnie wszystko to ubiera się w kwiaty obrony wolności jednostki i wolności „społeczeństwa" przed tyranią władzy państwowej.

Mimo takich założeń faktyczny rozrost zakresu działania państwa kapitalistycznego jest olbrzymi, dochodzi bowiem powszechnie do form „gospodarki kierowanej". Różne na to składają się przyczyny. A więc faktyczne komplikowanie się stosunków życia społecznego, zmuszające do ingerencji państwa czy się to komu podoba, czy nie. I konieczność wtrącania się państwa, aby tym skuteczniej bronić podstaw ustroju kapitalistycznego (czy ostatecznie nie taki jest sens „walki z kartelami" w Ameryce, jako że prywatne monopole *dyskredytują kapitalizm? Albo* czy upublicznienie szkolnictwa powszechnego nie podtrzymuje panującego ustroju, kiedy za pośrednictwem szkoły wszczepia się światopoglądy, sprzyjające temu ustrojowi?). I wreszcie konieczność pewnych ustępstw na korzyść (jakże często pozornej!) klas uciśnionych (zwłaszcza, gdy wskutek swej organizacji poczynają być groźne), aby za tę cenę okupić utrzymanie podstaw panowania klasy kapitalistów. I zapewne wiele innych przyczyn. Ale pomimo tego olbrzymiego faktycznego rozwoju ingerencji państwa — ideologia pozostaje do końca niezmieniona i zdecydowane antyetatystyczna.

2) SZRANKI PRZECIWKO „WSZECHWŁADZY PAŃSTWA"

Samorząd, w postaci przede wszystkim gminy, istniał od dawna w momencie kształtowania się państwa liberalistyczno-kapitalistycznego, uświadomienia sobie jego koncepcji i narastania odpowiedniej ideologii. Należało go przeto gdzieś umieścić w tym nowym obrazie układu sił i instytucji społecznych. Uczyniono to według recepty, jaką daje doktryna liberalna.

Państwo winno być ograniczone. Ograniczenie ma się wykonywać przede wszystkim na korzyść jednostki w imię jej rzekomej wolności, ale także na korzyść mniejszych grup społecznych w obrębie państwa, przede wszystkim więc na korzyść grup miejscowych, zorganizowanych w samorządzie. Trudno bowiem było zaprzeczyć, że istnieją potrzeby, których się nie da zaspokoić wysiłkiem jednostek. Niech je więc zaspokajają organizacje mniejszych grup społecznych, przede wszystkim gmina. Ale gmina — pojęta tak, jak jednostka, a więc jako odrębne od państwa indywiduum, posiadające odrębne od państwa i państwu przeciwne sprawy i interesy. W ten sposób powstaje koncepcja gminy względnie samorządu w ogóle jako jednej z form organizacyjnych, które mają b r o n i ć s p o ł e c z e ń s t w a p r z e d p a ń s t w e m. Tę ideę wypowiadają bez ogródek koryfeusze nauki prawa, zamykający niejako okres liberalistyczny, których teorie stanowią kwintesencję tego okresu. I tak niemiecki uczony Fritz Fleiner powiada: „Samorząd tworzy szranki przeciwko wszechwładzy państwa" Francuz Maurice Hauriou powiada zaś: „Centralizacja jest siłą własną rządu państwa, decentralizacja jest tą siłą, przez którą naród reaguje przeciwko rządowi państwa".

Takiemu ujęciu ideologicznemu odpowiadają normy i konstrukcje prawne, które dotrwały aż do naszych czasów. A więc z jednostek samorządu tworzy się korporacyjne „osoby publiczno-prawne", odrębne od państwa, posiadające „własne" sprawy i prawa, odrębne, albo nawet przeciwstawne sprawom ogólno-państwowym. W konsekwencji dochodzi do tego, że nawet wtedy, kiedy organ samorządu załatwia pewne kategorie spraw, nie należących do niego, jako sprawy „własne", uważa się je za sprawy cudze, bo państwowe, poruczone jedynie do wykonania samorządowi. Moment niezależności i samodzielności wysuwa się na czoło, jako główny rys charakterystyczny instytucji samorządu w tym okresie.

Rozwinęła się wprawdzie tzw. „państwowa" teoria samorządu, która głosi, że na tle faktycznego rozwoju instytucji państwa konstruowanie instytucji samorządu na podstawie przeciwstawności samorządu z jednej, a państwa z drugiej strony, straciło wszelkie uzasadnienie, a wraz z nią nie ma już uzasadnienia konstrukcja publiczno-prawnej osobowości samorządu, spraw „własnych" itd. i że samorząd jest w istocie rzeczy odmienną formą sprawowania administracji państwowej. Jednakże teoria ta, acz nienaganna i ciesząca się dość dużym powodzeniem wśród teoretyków, nie odpowiadała tendencjom politycznym i poczuciu ogólnemu i pozostała jedynie naukową teorią.

3) SAMORZĄD PUNKTEM OPORU „LEWICY"

Ten nurt myślenia, kształtujący pojęcia państwa i samorządu, idący, powiedzmy, **z prawa,** złączył się w rezultacie, o ile chodzi o ideologię samorządu, z innym nurtem, idącym z wręcz przeciwnego kierunku, mianowicie **z lewa.** Jest bowiem rzeczą naturalną, że klasy uciśnione odnosiły się do państwa negatywnie, albowiem państwo było dla nich przede wszystkim narzędziem klasowego ucisku. Na tym podłożu rozwijały się tendencje, sprzyjające tworzeniu szańców przeciwko wszechwładzy państwa i szukaniu w niezależnym samorządzie takich właśnie szańców, stosunkowo skuteczniejszych, niż inne. Tym się, między innymi, tłumaczy to paradoksalne na pozór zjawisko, że w obozie „samorządowców" znajdowali się, obok przedstawicieli panującej klasy, także najlepsi przedstawiciele **lewicy.**

Ale zjawisko, o którym mowa, tłumaczy się jeszcze innymi przyczynami. Oto w samorządzie działają bezpośrednio przedstawiciele ludności. Prawda, działanie to obraca się w ciasnych granicach, w których zamknięto samorząd, oddając przeważającą część administracji bezpośrednio w ręce zawodowej biurokracji państwowej. Prawda, że działalność samorządu poddano nawet w tych ciasnych granicach rygorystycznemu *nadzorowi* tejże biurokracji. Prawda również, że przez odpowiednie przykrawywanie systemów wyborczych do potrzeb panującej klasy utrudniano osiąganie rzeczywistej reprezentatywności ludności w samorządzie (w Anglii do r. 1945 wybory do przedstawicielstw lokalnych nie były ani równe, ani nawet powszechne!). Prawda wreszcie, że samorząd zepchnięty do roli kopciuszka już w samych założeniach prawnych, spychano jeszcze niżej przez nadużycia praktyki. Jednakże mimo to wszystko i w najgorszych nawet warunkach samorząd był niejakim k r o k i e m k u d e m o k r a c j i, który ceniono tym więcej, im bardziej zawodziła formalna demokracja parlamentarna. Mimo wszystko, bo nawet w okresie panowania Chienopiasta czy sanacji, możliwe było istnienie, jako wyjątków od reguły, „czerwonych" Czeladzi, Radomiów, czy Piotrkowów, czy też gmin i powiatów ludowcowych. Albo bez względu na wywieszki partyjne, możliwe było tu i ówdzie powoływanie rzeczywistych reprezentacji ludności, które w tych bardzo ciasnych granicach, mogły jednak coś dobrego dla tej ludności zrobić. Te skromne możliwości były szczególnie cenne dla warstwy chłopskiej, jako że chłop wskutek swego przywiązania do ziemi (nie sentymentalnego, lecz spowodowanego warunkami ekonomicznymi) miał znacznie mniej szans, mniej nawet niż robotnik miejski, na wyżycie się społeczne w innych, szerszych organizacjach i z natury rzeczy był skazany głównie na formy samorządu miejscowego.

Oczywiście wszystkie te możliwości razem wzięte były bardzo skromne i stanowiły zaledwie drobne wyłomy w ogólnym systemie. Per saldo system państwa obszarniczo - kapitalistycznego trwał w całej pełni. Jednak ceniono szanse robienia wyłomów. To też uważano, że im samorząd jest bardziej odrębny od państwa i bardziej niezależny — tym lepiej, bo wtedy szanse robienia wyłomów są większe.

Jeszcze jeden moment zasługuje na uwagę. Oto na ideologii samorządu w Polsce zaciążyła bardzo wyraźnie pamięć niedawnych zaborów. Bo że w okresie niewoli uważano samorząd, jako główną instytucję publiczną polską, za instrument walki z obcą państwowością, było rzeczą najzupełniej naturalną.

Pod wpływem wszystkich tych czynników wytworzył się istotny element koncepcji samorządu w minionym okresie, opierającą się w gruncie rzeczy na idei przeciwstawności państwa i społeczeństwa.

4) W USTROJU POLSKI LUDOWEJ

Zreasumujmy. Pod wpływem ówczesnego układu rzeczywistych stosunków wytworzyła się koncepcja samorządu, opierając się na dwóch głównych elementach: **przeciwstawności spraw lokalnych sprawom ogólnym i przeciwstawności społeczeństwa państwu.** — Pod wpływem tej koncepcji powstały odpowiednie konstrukcje prawne w postaci odrębnej od państwa osobowości publiczno - prawnej jednostek samorządu, spraw własnych samorządu w przeciwieństwie do spraw państwowych i prawnych gwarancji względnej niezależności samorządu.

Do tych dwóch podstawowych dołączył się następnie trzeci element: demokratyczny charakter samorządu, wynikający z bardziej bezpośredniego udziału ludu w załatwianiu spraw publicznych za pośrednictwem instytucji samorządowych, aniżeli było to możliwe w stosunku do innych instytucji, zwłaszcza w stosunku do centralnego parlamentu, parlamentarnego rządu i od rządu zależnego aparatu biurokratycznego. O ile jednak dwa pierwsze elementy były dominujące, o tyle ten trzeci był raczej dodatkowym, bynajmniej nie powszechnie uświadomionym i uznanym, raczej wyrazem tęsknot i dążeń i zawołaniem bojowym klas upośledzonych, aniżeli akceptowanym faktem.

Te trzy elementy i ich pochodne złożyły się na bagaż koncepcyjny, ideologiczny i prawny, z którym po wyzwoleniu weszliśmy w okres naszej demokracji ludowej. Czy jest on zgodny z założeniami tej nowe demokracji i konsekwencjami tych założeń? Oto dręczące pytanie, które musimy rozstrzygnąć szybko i wyraźnie.

Pierwszy element stracił wszelką rację już dawno, w każdym razie na długo przed dokonanym przewrotem. — Przeciwstawianie spraw lokalnych sprawom ogólnym przeczy tym bardziej obecnemu układowi stosunków i tendencjom ich rozwoju. Współzależność grup miejscowych i ich związek z całością stały się dzisiaj tym bardziej oczywiste, a szybkość włączania spraw ongiś miejscowych w nurt ogólny — miarą społecznego postępu. Klasom świeżo wyzwolonym, a zwłaszcza klasie chłopskiej, która najdalej pozostała w tyle w ogólnym rozwoju, zależeć dziś specjalnie musi na szybkim włączeniu się w postęp narodowy. Dlatego trzeba burzyć mury ghett, a nie stawiać nowych, choćby się je okraszało ideologią największej niezależności i samodzielności. Albowiem choćby się je budowało pod najszczytniejszymi hasłami, będą one zawsze stawać wpoprzek na drodze postępu i wyzwolenia warstw upośledzonych już nie spod panowania obszarników i kapitalistów, bo to zostało dokonane, ale z jarzma własnej ciemnoty i zacofania.

Powtarzam: wyeliminowanie wszelkiej przeciwstawności interesów lokalnych ogólnym z koncepcji samorządu nie przeszkadza uwzględnianiu warunków lokalnych przy zaspakajaniu potrzeb społecznych i uszanowaniu lokalnego kolorytu administracji publicznej, gdy tego zajdzie potrzeba. Dla tego celu nie trudno znaleźć odpowiednie rozwiązania.

Punkt ciężkości zagadnienia spoczywa jednak w drugim elemencie dotychczasowej koncepcji samorządu, mianowicie: przeciwstawności społeczeństwa i państwa. Albowiem do bardzo niedawna istniały wszelkie obiektywne powody, aby jedno przeciwstawiać drugiemu. Państwo było narzędziem panowania jednej klasy nad resztą społeczeństwa, drobnej mniejszości nad masami.

Ale właśnie niedawno dokonany przewrót odmienił z gruntu i jak gdyby odwrócił całą sytuację pod tym względem. Wraz z unarodowieniem głównych środków produkcji w przemyśle, uspołecznieniem znacznej części handlu i radykalnym przeprowadzeniem reformy rolnej państwo zmieniło całkowicie swój dotychczasowy sens: przestało być narzędziem panowania jednej klasy nad całym społeczeństwem.

Z interesującego nas punktu widzenia dokonana zmiana przedstawia doniosłość olbrzymią. Bo oto przepaść, która dzieliła państwo i społeczeństwo, została nagle zasypana. Dokonany przewrót gospodarczy i społeczny umożliwia postawienie znaku równości między pojęciami państwo i społeczeństwo. Dlatego nie ma już przeciwko komu budować szańców obronnych w postaci samorządu pojętego tak, jakeśmy go do niedawna pojmowali. Bagaż koncepcji odrębnej publiczno - prawnej osobowości samorządu, spraw własnych, prawnej ochrony niezależności itd. — stał się już bagażem całkowicie zbędnym i szkodliwym, bo przeszkadzającym w konsekwentnym rozwoju na podstawach demokracji ludowej. Jakże tu mówić o samorządzie w starym tego słowa znaczeniu, kiedy całe państwo, rzecby można, zostało usamorządowione?

Tak więc i drugi z istotnych elementów starej koncepcji samorządu stracił całkowicie rację swego istnienia.

Dziś tedy możemy już mówić o uspołecznieniu państwa w jego zasadniczej koncepcji. Jednakże realizacja tej koncepcji wymaga czegoś więcej, aniżeli przyjęcia zasady. Wymaga mianowicie struktury organizacyjnej państwa, odpowiadającej tej zasadzie. Takiej struktury, któraby gwarantowała rzeczywiste rządy ludu — w ogóle i w szczegółach.

I tu dochodzimy do trzeciego pierwiastka w koncepcji samorządu: do demokratyczności tej instytucji. Pierwsze dwa główne jej elementy odpadły, straciwszy wszelkie uzasadnienie w nowych warunkach życia społecznego. Natomiast ten trzeci, dotychczas raczej dodatkowy i uboczny, obecnie nie tylko wysunął się na czoło, ale poprostu pozostał sam jeden na placu. Rozbudowa tego pierwiastka równa się uludowieniu i uspołecznieniu organizacji państwowej.

c. d. n.

---

*) Patrz M. Jaroszyński: „Opory starych ideologii" „Wieś" nr. 47 (126).

Jan Bolesław Ożóg

W I E R S Z E



Z W R O T

Sztandar zaklęty w dumnym rymie,
Nike z batalii — na lawecie
i w piersi bite wielkie imię
jak profil wodza na monecie.

Rzeczpospolita z krwi i bomb,
nowa, w bój chrzczona i wichurę,
w srebrzystej grzywie groźnych trąb
jak chytry wąż, gdy zmienił skórę.

DZIEŃ ŚW. SZCZEPANA

Nie byłem ja z tych, którym drzwi się otwiera z Bogiem.

*

Droga na las, nakryta rdzą, kością i choiną
i niezgrabny podkólek człowieka na śniegu,
ach, oczami żałości na zawsze urzeczony!..
Kolędowały domy już, spokojne i płowe,
nad strugą szare mostki jak przepiórki pluskały.
Ledwie kij wlókł się, ledwiem przystanął u okien
i ledwie piersi (z opłatkiem) krew spłakały ustami.
Właśnie wam kantyczki opuściły dolinę:
olbrzymie fale muzyki, muzyczne pokłony,
zmierzch w ciszy zielonej śnieg jak siano szatkował.
Za oknem przepłynęły sny — czarnosrebrne loki.
Kaleczył się — widziałem — cień komży po mnie tamtym
Wiesz, przeszył mię śpiew bólu tak słodki jak ramię
i usta niepodane i rozpacz po brzegi.
Drzewa, milczenia! — wyłem. Zbudziły się i drżały.

(Z tomu wierszy „Jej Wielki Wóz", który ukazał się nakładem Oddziału Wiejskiego ZZLP)

Maria Żmigrodzka

Źródła dynamiki rozwoju powieści

GATUNEK LITERACKI

We współczesnym literaturoznawstwie pojęcie gatunku literackiego odgrywa pierwszorzędną rolę. Gatunek to najważniejsze bodaj pojęcie klasowe, pozwalające wyodrębnić w sposób pewny jednorodne grupy faktów literackich, co posiada kluczowe znaczenie zarówno dla zagadnienia naukowej klasyfikacji, jak i dla stworzenia naukowego języka literaturoznawstwa.

Historię literatury konstruować możemy w sposób poprawny jedynie poprzez historię ewolucji gatunków literackich, badając formy powstawania i kształtowania się rodzajów na gruncie określonych warunków społecznych i ustalając związki i zależności pomiędzy rozwojem gatunku a całokształtem życia społecznego.

Poprzez historię gatunku da się najwyraźniej wydobyć zasadnicze dla humanistyki zagadnienie dynamiki zjawisk kulturowych przez ustalenie praw i sił społecznych, kierujących formowaniem się rodzaju literackiego.

Pojęcie gatunku literackiego przybierało odmienną postać na gruncie różnych koncepcji kultury. Różnym był tu nietyle sam schemat klasyfikacji — gdyż naogół nie kwestionuje się przyjętych powszechnie terminów — ale raczej podstawa podziału i charakter wyodrębnionej w ten sposób klasy zjawisk.

NATURALISTYCZNE INTERPRETACJE LITERATURY

Literaturoznawstwo pozytywistyczne, pozostające pod sugestią rozwoju nauk przyrodniczych, uważało ewolucję świata nadorganicznego za przedłużenie rozwoju świata organicznego. Rozwój ten miał w obu wypadkach przebiegać identycznie. Brunetière próbował rozpatrywać gatunki literackie tą samą metodą, co zwierzęce. Gatunek literacki miał przechodzić od powstania do zaniku wszystkie fazy rozwojowe, właściwe organizmowi biologicznemu. Kryterium klasyfikacji, to podobnie jak w systematyce zoologicznej kryterium **budowy** — więc w odniesieniu do dzieła literackiego kryterium **formalne.** W rozwoju gatunków literackich dostrzegł Brunetière działanie mechanizmu praw Darwinowskich — walki o byt i doboru naturalnego. Stwierdzał, że w wyniku konkurencji między formami literackimi zwycięstwo odnieść musi forma, najlepiej odpowiadająca wymaganiom życia. Wśród czynników wpływających na modyfikację gatunków wymienia wprawdzie Brunetière rasę, środowisko, indywidualność, ale w pierwotnym sformułowaniu bardziej rozstrzygająca jest zasadnicza linia rozwoju gatunku, zdeterminowana ogólnymi prawami jednokierunkowej ewolucji. Dynamika rozwoju gatunku literackiego nie wyznacza **żadnej odrębnej rzeczywistości humanistycznej** — podlega ogólnym prawom przyrodniczym — np. przechodzenia od form prostszych do bardziej skomplikowanych.

W IDEALISTYCZNEJ KONCEPCJI KULTURY

Zagadnienie gatunku na terenie idealistycznej koncepcji kultury kształtowało się jako **zasada wyboru formy, odpowiadającej strukturze duchowej artysty** — rozwój lub zanik pewnego gatunku w określonej literaturze narodowej uwarunkowany jest w ramach tej kultury **„psychiką narodową"** lub **osobniczą** i jej dyspozycjami **wewnętrznymi,** godzącymi się lub sprzecznymi z właściwościami gatunku. Dynamika rozwoju gatunku sprowadza się do idealistycznej koncepcji dwóch prądów, dwóch stylów kultury, które kształtując typ umysłowości generacji, naprzemian potęgują rozwój liryki lub epiki, subjektywizmu i objektywizmu literackiego itp. W innym nieco ujęciu będzie się mówić o doświadczeniu historycznym, wytwarzającym w psychice narodowej nowe dyspozycje lub niszczącym dawne.

FORMALIZM

Według formalizmu podstawą klasyfikacji są jedynie cechy formalne. Rozwój gatunku następuje na zasadzie wewnętrznej komplikacji w ramach danego ciągu literackiego, **izolowanego od szerszego kontekstu społecznego.** Dynamika wpływów literackich, nie wyjaśniająca procesów recepcji pewnych zjawisk literackich, czy słabości innych, rozwój gatunków, odbywający się na drodze wzajemnego oddziaływania starć czy nawet zmagań dwóch gatunków — oto formalistyczne widzenie procesów literackich.

SOCJOLOGICZNE BADANIE LITERATURY

Socjologiczna koncepcja literatury za podstawę klasyfikacji przyjmuje nietylę cechy formalne — jak w trzech powyższych kierunkach — ile **funkcję społeczną gatunku literackiego. Dynamika rozwoju gatunku będzie uzależniona od rozwoju stosunków społecznych,** z których określoną formą związane jest powstanie danych rodzajów literackich.

Rozważanie procesów literackich na tle szerszego kontekstu społecznego pozwala metodzie socjologicznej uzyskać pełnię ścisłości i sprawdzalności.

SPÓR INTERPRETACYJNY NA PRZYKŁADZIE POWIEŚCI

Jak przedstawia się zagadnienie dynamiki rozwoju gatunku literackiego na konkretnym przykładzie np. powieści realistycznej?

Spośród przytoczonych stanowisk kierunków metodologicznych można wyeliminować koncepcję naturalistyczną, która, zwłaszcza w swej biologizującej odmianie, nie znajduje dziś zwolenników. Zresztą nawet Brunetière nie traktował jej zbyt rygorystycznie, przyznając w późniejszych dziełach większą rolę wpływom środowiska i jednostki.

Charakterystycznym będzie natomiast stanowisko formalizmu w tej sprawie.

Rozdział poświęcony powieści w „Poetyce" B. Tomaszewskiego, cenionego formalisty rosyjskiego, jest doskonałym przykładem, do jakich absurdów doprowadzić może klasyfikacja formalna, rezygnująca z wszelkiego wglądu w **funkcję gatunku literackiego w życiu społecznym.** Powieść współczesną, obyczajową, społeczną zaliczył Tomaszewski do powieści psychologicznych, których mistrzem był... Balzac, kryterium zaś formalne wyróżniające utwory tego typu to intryga miłosna, a najczęściej „intryga cudzołóstwa (temat niewierności małżeńskiej)" (!).

Tyle ze stanowiska formalistycznego można powiedzieć o powieści realistycznej, gatunku literackim współcześnie niewątpliwie najbardziej ważkim, posiadającym bujną przeszłość, jako ważny czynnik walk ideologicznych, odgrywający niepoślednią rolę w kształtowaniu się stosunków społecznych XIX w. O ile formalizm, przybierający oczywiście niezawsze formy tak karykaturalne (Krzyżanowski, Powieść w w. XVI w zbiorowych „Dziejach literatury pięknej w Polsce") jest wielkim zubożeniem zagadnienia ewolucji gatunku, odcinając je sztucznie od problematyki życia społecznego, o tyle koncepcja idealizmu, sugeruje istnienie fałszywych związków między zjawiskiem literackim a szerszym kontekstem życiowym — w tym wypadku „psychiką narodu".

Jako przykład wystarczy podać tradycyjne stanowisko polskich historyków powieści, stwierdzających zresztą niejednokrotnie, że powieść jest jak najściślej związana z życiem zbiorowym społeczeństwa.

Ten „ścisły związek" ma oczywiście oznaczać ścisły związek między tworem artystycznym, a zbiorową „psychiką społeczeństwa"; powieść jest wyrazem „duszy narodu". I tak do tradycyjnych rekwizytów historii powieści polskiej należy zdumienie, że szlachta, mimo swych skłonności epickich, zmysłu obserwacyjnego i pociągu do gawędziarstwa, nie wytworzyła gatunku powieści. Tłumaczy się to znów mistyką psychologiczną — brakiem fantazji i właściwym szlachcie zmysłem realizmu. Dlaczego jednak skłonność do realizmu miała uniemożliwić szlachcie wytworzenie powieści realistycznej trudno pojąć w ramach takiej koncepcji kultury. Jeśli literatura jest wyrazem ducha, to brak tradycji literackiej rozstrzygającą przeszkodą być nie może.

Równie naiwne jest psychologiczne tłumaczenie przyczyn, przewagi powieści historycznej w I połowie XIX w. — motywuje się to zjawisko niechęcią do fikcji, kultem dla literatury pamiętnikarskiej — a ton i charakter literatury romantycznej przeoraniem ducha narodowego przez klęskę rozbiorów.

Szlachta XVII w. powieści realistycznej stworzyć nie mogła, niezależnie od tego czy miała, czy też nie miała odpowiednich dyspozycji psychicznych. Powieść ta jest bowiem wytworem określonej klasy, określonego układu sił społecznych, jaki w Polsce długo jeszcze nie miał się zrealizować.

MÓWIĄC O POWIEŚCI ZACZNIJMY OD... MIESZCZAŃSTWA

Powieść, powiedział Hegel, to epos mieszczański.

Powstanie powieści realistycznej jest ściśle związane z historią emancypacji zachodnio-europejskiego mieszczaństwa. Powieść epoki klasycyzmu należała do rodzajów niższych — dwa jej typy to: romans komiczny i romans łotrowski. Powieść wieku XVIII, jak stwierdził Mirski w art. w „Literackiej Encyklopedii Sowieckiej" — powieść epoki wzrastającej samowiedzy mieszczaństwa jako klasy, przełamała konwenans rodzajowego obrazka, w którym źle urodzony mógł grać rolę tylko gapia lub zręcznego łotrzyka — uczyniła go pełnoprawnym charakterem, zdolnym do wszystkich ludzkich uczuć i namiętności.

Ta artystyczna nobilitacja mieszczanina, — zresztą zamożnego bourgeois lub członka upper middle class — zamiłowanie do drobiazgowego malowania wszystkich realiów jego życia, były wprawdzie warunkami koniecznymi, lecz bynajmniej nie dostatecznymi dla dalszego rozwoju powieści realistycznej. Richardson stał się ojcem całej masy powieści sentymentalnych, gdzie w powodzi łzawych wylewów uczuć zaginęły wszelkie zarysy realności, a wytworzył się nowy konwencjonalizm widzenia życia. Charakterystyczna jest reakcja przeciwko sentymentalizmowi i potępianie go w imię prawdy życia u przedstawicieli dwóch pokoleń polskich, które odważyły się myśleć. — Jan Śniadecki pisze w „Liście do Synowicy" (1818) o szkodliwym wpływie romansów fałszujących rzeczywistość „zmyślonymi wypadkami świata", a Kraszewski, broniąc powieści realistycznej w roku 1843, stwierdził: „Wówczas, kiedy romanse malowały jakiś świat konwencjonalny, jedno tylko i to fałszywe kreśląc uczucie, obłąkiwając obrazami wystawiającymi ludzi i uczucia w niebywałych kształtach — wówczas romans był szkodliwy w istocie".

Istniał jednak drugi nurt powieści realistycznej, który utrzymywał zawsze najżywszy związek jej z realną współczesnością. Istnienie jego umożliwiało powieści realistycznej to, co jest dla niej najbardziej charakterystyczne i stanowi o jej **społeczno - poznawczej wartości** w wyższym stopniu, niż fotograficzna wierność szczegółów — to jest — stworzenie **obrazu historycznej rzeczywistości,** odkrycie **jej sensu i praw nią rządzących.**

Ten drugi nurt powieści realistycznej, to drugie oblicze **mieszczańskich dążeń emancypacyjnych — to nurt krytyki społecznej, niszczącej przeżytki feudalizmu.**

Na terenie powieści angielskiej jedną z najwcześniejszych pozycji tego typu będą XVIII-wieczne „Coverley papers" Addisona i Steela drukowane w Spectatorze.

Na terenie francuskim odziaływać musiał wpływ powiastki filozoficznej — „Kuzynek Rameau", „Kandyd". Powieść realistyczna związana została z postępowymi ruchami społecznymi, uczyniona przez nie wielkim narzędziem walki, które z czasem miało zwrócić się przeciw społeczeństwu mieszczańskiemu, którego było tworem.

Powieść wykorzystywana przez ideologie polityczne w zapale walki nie mogła się niejednokrotnie ustrzec przed agitacyjną wulgarnością, prymitywnym upraszczaniem obrazu życia. Te, częste zresztą mankamenty artystyczne stały się argumentem estetyzujących tendencyj, które żądały od sztuki, respective od powieści, absolutnej bezinteresowności, tworzenia artystycznie wiernych, lecz wstrzymujących się od oceny obrazów życia. Powieść miała być „zwierciadełkiem przechadzającym się go gościńcu życia" (Stendhal). Wielki pisarz, nawet w ramach takiej poetyki, potrafi dostrzec mechanizm życia, historyczno-politycznego i wierny prawdzie, dać jego realistyczny obraz. Wyraźne jednak są konsekwencje teorii „zwierciadełka" na terenie powieści naturalistycznej — a więc empiryzm drobiazgowy i nieumiejący stworzyć żadnej syntezy, bezcelowy opis dla opisu, wreszcie zatrata świadomości historycznego sensu opisywanej rzeczywistości, co pozwoliło na ugruntowanie teorii „homo phisiologicus", tak, że nietylko „homo metaphisicus" lecz i „homo socialis" został tutaj ostatecznie wyrugowany.

Powieść realistyczna, jako produkt określonego stopnia rozwoju klasy mieszczańskiej, powinna była prosperować tylko w odpowiednim środowisku społecznym. Wprawdzie ze względu na swoiste sposoby przenoszenia się idei i gatunków literackich mogła pojawić się w środowisku społecznym diametralnie różnym od tego, które ją wytworzyło lecz nie znajdując właściwych sobie warunków nie powinna się teoretycznie dalej intensywnie rozwijać. Tak było z polską powieścią w wieku Oświecenia — „Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego" i parę naśladownictw tej powieści nie były zjawiskami, które wywarły trwalszy wpływ na dzieje powieści polskiej.

Podobnie i na terenie niemieckim słabość powieści realistycznej i jej artystyczne zacofanie w stosunku do osiągnięć innych literatur zachodnio europejskich na tym polu, fakt, że jeszcze u Raabego i Storma tematyka wielkiego przemysłu i urbanistyki uchodzi za „niepoetyczną", nieumiejętność stworzenia syntezy życia w ramach wielkiego realizmu, jest z pewnością związana z gospodarczym zacofaniem Niemiec około połowy XIX w., a potem z gwałtownym ich rozwojem, jednak nie w ramach liberalizmu gospodarczego a bismarckowskiego protekcjonizmu, owianego mgiełką mistycznych teorii gospodarki narodowej, wspólnego dobra narodu itp.

Powieść realistyczna nie była jednak stanowym gatunkiem literackim, szybko też wyrosła z roli piewczyni mieszczaństwa, została zaadoptowana przez inteligencję postępową wszelkich formacji historycznych. Ze względu na swe walory intelektualne, na znaczenie poznawcze stała się **ulubioną bronią postępowej inteligencji.** Typowym przykładem może tu być sprawa realizmu rosyjskiego i polskiego.

Realizm rosyjski miał swoiste cechy nie tylko dzięki temu, że kapitalizm rosyjski miał, odmiennie od zachodnio europejskiego, charakter kapitalizmu kolonialnego, ale i dzięki temu, że nie był ideologią mieszczaństwa, lecz grupy szlachecko - burżuazyjnej inteligencji walczącej z pańszczyzną i innymi przeżytkami feudalizmu.

SZANSE NA REALISTYCZNĄ POWIEŚĆ

Rozwój realizmu polskiego w dobie pozytywizmu, związany jest bardzo ściśle z przemianami społecznymi, jakie po roku 64 doprowadziły do wytworzenia się nowej warstwy — inteligencji.

Jak wyglądały tradycje polskiej powieści realistycznej przed tym rokiem? — W pierwszej połowie wieku XIX w świadomości polskiej krytyki i publiczności literackiej romans to gatunek, „którego cel w przedmiocie to jest w opisaniu miłości". Romans miał być przy tym rzetelnym obrazem „towarzystwa ludzi", bo „więcej prawda dodaje powagi i mocy, niż zmyślenie wdzięku i przyjemności" — stwierdzał anonimowy autor rozprawki „O romansach" w „Ćwiczeniach literackich". Stąd jedyne kryterium oceny powieści w Polsce to zagadnienie, czy romans jest „uczciwy" — o co się zresztą martwił przede wszystkiem jeszcze Książe Biskup Warmiński. Ten stosunek do powieści przetrwał zresztą na dnie świadomości polskiej publiczności literackiej długo. — Jeszcze Prus gderał w „Kurjerze Codziennym". „Pewien autor napisał... powieść pod tytułem „Figa z makiem", czy też „Dziura w moście", usiłując scharakteryzować w niej życie społeczne, stosunki i typy kilku pokoleń... w Anglii pytano by się przede wszystkiem, o ile owe stosunki i typy są prawdziwe i o ile są nowe? — Tu jednak najniecierpliwiej dowiadywano się: Dlaczego powieść nosi tytuł „Figa z makiem" czyż „Dziura w moście" i czy Dziura ożeni się z Makiem, a Figa z Mostem?"

Mimo, że około roku 1843—46 powieść doczekała się gloryfikacji ze strony samego Cieszkowskiego i to nawet powieść „igrająca" tematami naukowymi i społecznymi, na popularność i właściwy rozwój powieści, **realistycznej** — powieści **społecznej** nie było warunków. Propagowali wprawdzie jej konieczność młodzi demokraci: Dembowski, Dziekoński, Leszek Borkowski i Marcinkowski, wojowali z Korzeniowskim o twórczość ludową o zerwanie z konwencjonalnym światem salonów, ale około roku 1854 okazało się, że powieść realistyczna właściwie się publiczności „znudziła.

Kraszewski, oburzony falą naśladownictw jego powieści, wystąpił w Gazecie Warszawskiej z wnioskiem o odnowienie formy powieściowej. Korzeniowski odpowiedział złośliwie, że konieczną jest przede wszystkiem oryginalność treści. Kraszewski replikując dowodził, że forma powieści została już zbanalizowana do tego stopnia, że wszystkie obecne „naśladownictwa wyglądają jak kompozycje sławnych malarzy litografowane na chustkach od nosa".

Do stanowiska Kraszewskiego, znanego ze zmienności sądów, można by nie przywiązywać większej wagi, gdyby nie szerokie rozmiary, jakie przybrała ta dyskusja, w której przeważały istotnie zdania potępiające powieść realistyczną, argumentujące nie kwestionowanym przez przeciwników vox populi — „nie dziwimy się, że publiczność czytająca, która by rada w swej literaturze dojrzeć dźwignię, co by ją wyrywała z płaskiego i powszechnego otoczenia, przesyciła się już owymi współczesnymi powieściami, owymi powieściami obyczajowymi, owymi obrazami i obrazkami" — pisał Lewestam, radząc jako receptę na nudę romans filozoficzny, „który by od nędzy ludzkiego żywota wzrok nasz odwrócił".

Z chwilą gdy wytworzyła się nowa warstwa radykalnej inteligencji, która z zapałem przystąpiła do propagandy nadrobienia zacofania gospodarczego, wytworzyły się warunki dla rozwoju wielkiej powieści realistycznej. Pozytywizm nierozłącznie sprzągł **realizm i tendencję społeczną.** Nie umiejąc jeszcze w pełni posługiwać się techniką realizmu utożsamił realizm z realizmem tendencji, jak stwierdził Chmielowski (Orzeszkowa). Powieść została uznana za jeden z głównych środków **oświaty i propagandy.** Z drugiej strony podkreślono też silnie wartości **poznawcze** literatury — Orzeszkowa uważa powieść za mieszany wytwór umysłowości ludzkiej, który z jednej strony należy do sztuki i dlatego podlegać ma wszystkim rygorom formy artystycznej, z drugiej — cytuję — „szerokim szlakiem wpływa w dział wiedzy — ten szczególnie, który streszcza w sobie wyniki nauk wszelkich, a zwie się filozofią". — Oczywiście jest to **socjologizująca** filozofia w stylu Comte'a.

Wielka powieść realistyczna pozostaje w związku nie tylko z koncepcjami pozytywizmu, wytwarza się i na jego bocznym nieco torze — u Prusa i Sienkiewicza. Powstaje zamówienie społeczne na powieść realistyczną — kontakt odbiorcy z twórcą. Powieść realistyczna już się publiczności nie nudzi. Załamanie się pozytywizmu, a z nim realizmu pozytywistycznego następuje jednak szybko. Jan Kott wykazał w studium o Lalce przyczyny tego zjawiska — słabość garstki nowatorów w ubogim kraju, kolonizowanym przez obcy kapitał, gdzie zarysowywała się kwestia robotnicza i chłopska, której rozwiązanie w ramach solidarystycznej, ewolucyjnej ideologii społecznej pozytywizmu było niemożliwe. Nieufność dobec dotychczasowych dogmatów — pracy, wiedzy, rozczarowanie, powolna utrata kontaktu ze współczesnością i — powieść zatraca wyrazistość tendencji, gubi się w alegoryzmie, estetyzmie, psychologizmie. Eliza Orzeszkowa pisze „Ad astra".

NUMER ŚWIĄTECZNY „WSI"
(49—50, 128—129)
O PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI
ZAWIERAĆ BĘDZIE M. INN.:

J. A. Król — Samorodni; **W. Jażdżyński** — O nowej szkole; **A. Kamieńska** — Samorodni; **S. A. Pieniążek** — Krajobraz rolny w systemie gospodarczym; **B. Baranowski** — Karczma; **T. Chróścielewski** — Matka w literaturze; **Z. Mysłakowski** — Rodzina wiejska; **L. Budrecki** — Boy — walka o laicką moralność; **W. Rudziński** — Muzyka ludowa i wielka; **J. Krzyżanowski** — Bajka polska; **Telakowska** — Wiejskie rzemiosło artystyczne; — proza beletrystyczna, wiersze, ankiety konkursowe, recenzje z książek: Nędzy - Kubińca, Skonecznego, Ożoga. Numer bogato ilustrowany.

Lech Budrecki

Poezja Stanisława Piętaka



Stanisław Piętak

Linia rozwoju St. Piętaka stanowi poniekąd symptom przemian zaszłych w poezji polskiej ostatnich 20 lat. Literackie metamorfozy pokolenia uwydatniają się na jego przykładzie ze szczególną wyrazistością. Początek i finał przygody duchowej: przerzut od eksperymentu do banału, oto wytyczne tej ewolucji. Zacznijmy od miejsca, z którego wyruszył tak Piętak, jak i tylu innych poetów. Lata 30-te to rozkwit awangardy, odgrywającej wtedy bodajże główną rolę w ówczesnej poezji polskiej. Przyboś i Peiper szybko znaleźli uczniów. Debiutowali po kolei: Brzękowski, Czechowicz, Flukowski, Świrszczyńska, Zagórski, Miłosz, no i oczywiście Piętak. Sprawa nowej liryki znalazła licznych zwolenników wśród młodych adeptów poezji. Awangarda niosła za sobą typ poetycki, oparty już o wysiłki pisarzy Zachodu. Przyboś buntował się przeciw symbolizmowi, chciał ładu w wyobraźni poetyckiej. Hasła jego zawiodły. Regularność została szybko zarzucona. Trzeba było wrócić do Mallarmé'go. Rozbito wprawdzie zwrotkę, sięgając po najnowsze osiągnięcie moderny, po wolny wiersz, który skonstruowali Verhaeren i Kahn. Odrzucono pozę **komentarza, poezję głoszącą wiedzę o świecie.** Zastąpiono ją **obrazem.** Posłuchajmy, oto wystąpienie Przybosia:

Te same gwiazdy
wyszeptały wieczór jak zwierzenia.
Latarnie wyszły z ciemnych bram na ulicę
i w powietrzu cicho stanęły.
Zmrok łagodnie przemienia przestrzenie

Poeta zamienił się w lirycznego reportera. Trzyma aparat fotograficzny w dłoniach. Na kliszach zostaje wzruszenie i krajobraz. Kiedy badam zwrotkę Piętaka:

Dłonie nucą, chcą być szumem.
Cienie czeszą uśpioną wodę, tam wiatr
obłoki kobiet wznosi w błękitnawą łunę.
Jestem roślinnych ust najcichszy kwiat,
włosom do pocałunku podaję gwiazd strumień.

odczytuję od razu porządek ułożonych w nich realiów. Przypisywanie przedmiotom cech charakterystycznych innym, zastępowanie czynności właściwych przez podobne, ukryte porównania i co najważniejsze ustalanie związków pomiędzy rzeczami, nie mającymi bezpośredniej łączności ze sobą. **Wszystko oddziaływa, wszystko wpływa.** Świat zagęszcza się, powstaje nieoczekiwana dynamizacja krajobrazu: zupełnie jak w malarstwie Cezanne'a plamy barwne determinują kolor innych plam, tak tu realia ograniczają się wzajemnie przypadkowo i chaotycznie. Rodzi się jeszcze inny sposób formułowania zdań: „Płatki szumu... A!" — Każdy, kto czytał Werfla, czy Trackla zapamięta rwanie frazy. Zburzono dawną konstrukcję poetycką. Młodzi poeci zaczęli łamać wypowiedzi. Nie kończyli ich. Chodziło o wrażenie wywołane odrzucaniem konwencji i komunikatywności, jakie w tej dziedzinie dotąd panowały. Nazwano to ekspresjonizmem. Jeszcze jedna maska naszej współczesnej literatury pojawia się na scenie. Awangarda grała zresztą tę samą rolę. Historyk badając kiedyś początki XX stulecia sięgnie do rekwizytorni, w której poeci zakładali maski na twarz. Oceni walor sztuki **charakteryzacyjnej,** osądzi ją. Literatury bowiem nie brano już na serio. A podwójnie śmieszni stawali się ci, którzy usiłowali wówczas wieszczyć. Mówię o awangardzie tak, jakby kierunek ten był czymś autonomicznym na mapie kulturalnej Europy. A przecież to jedna z tych szkół, których dziesiątki rodziło się i umierało w 20-leciu. Nic dziwnego także, że jego związki z nadrealizmem wcale nie były przygodne. Trzeba się cofnąć. Manifesty futurystyczne, dadaistyczne, nadrealistyczne otwierają okres daleko posuniętego eksperymentatorstwa, okres ustawicznych prób, Apollinaire i Jacob stali u początków. Bunt przeciw tradycji symbolistycznej wiódł do żartu i do opisu snów. Zapanowała drwina. Już nie z świata, a z artystycznej tradycji. Niektórzy brali tę zabawę na serio. Byli tylko bardziej pocieszni przez to. Najbardziej zaś świadomi stanu rzeczy, rzucali się z przygody w przygodę.

Poeci zanurzyli świat w metaforach i dowolnych asocjacjach przedmiotów. Realia owijano starannie w zdania pełne dalekich porównań. Ten, kto pisze: „W warkoczach śniących drzew muzyka skrzydeł" szuka już tylko poetyckości. (W tym znaczeniu, jakie słowu temu przydawała ówczesna konwencja).

Wszystkie drogi prowadziły ku fantastyce. Poezja zrezygnowała z tej ostrości widzenia, jaką demonstrował jeszcze Baudelaire w swojej kronice industrializacji, w „Kwiatach zła". Wizje Rimbauda przerzucały pomost na wyspy szczęśliwe, zdążały ku pierwotności. Mieszczaństwo pragnęło nowych dialogów Lukiana, potrzebowało odwrotu od tych wszystkich wydarzeń, które zewsząd poezji zagrażały. Załamywanie się tej klasy przyniosło nam ze sobą przygodę duchową i eksperymentatorstwo w poezji.

PRÓBA PRZEŁOMU

Kiedy Miłosz pisał: „Najpiękniejsze ciała są jak szkło przezroczyste, Najsilniejsze płomienie jak woda zmywająca zmęczone nogi podróżnych. Najzieleńsze drzewa jak ołów rozkwitły w środku nocy", oznaczało to wyrzeczenie się tych rygorów, jakie wyobraźni nakładał Peiper. Awangarda przegrała. Młodzi poeci odchodzili od niej, szukając takich poetyckich doświadczeń, któreby mogły ich dotychczasowe poszukiwania usprawiedliwiać. Baudelaire mówił, że niebo jest tragiczne. Decaune pisał o „jasnej sylwetce przyjemności", Piętak wspomina „szklane sny". Zerwanie autora „Domu Rodzinnego" z awangardą przypada na rok 1936. Początkowo to tylko nawrót do zwrotki. A potem... Potem przychodzą poematy.

Poeci XIX wieku przestali ufać epice. Druga połowa tego stulecia niedarmo jest jej grobem. Bohaterowie zanikają, rozpada się akcja. Zostają opisy, adnotacje liryczne lub rzadziej narracje o wydarzeniach historycznych. Skończono z mową wiązaną, zaczęto opowiadać prozą. Mieszczanie zaczytywujący się w „Dekameronie" nie wiedzieli, że zadają właśnie ostateczny cios wszelkim kontynuatorom Ariosta. Poemat epicki czytelnik wymienił na powieść. „Iliada" XIX wieku to Balzac. Nowy Homer wyrzekł się heksametru. Byron i Heine zrezygnowali tymczasem z fabuły na rzecz dziennikarstwa i lirycznych wtrętów. Secesja porzuciła już ostatecznie poematy. Potem powstały jeszcze próby poetyckich opowieści o wydarzeniach, ale bohatera już nie było. Wogóle nie lubiono anegdoty w naszych czasach. Piętak wycofując się z awangardy i nawiązując do epiki, musiał sięgnąć do źródeł inspiracji poezji polskiej minionego stulecia. Z tych usiłowań powstały „Zbieg", „Zdrada", „Partyzant i dziewczyna". Krytyk, badający uważnie to, co pogardliwie nazywano dykteryjką w utworze, wykryje z łatwością jej niewiarygodny wręcz sentymentalizm. Miłość, zazdrość oto oś wszystkich utworów, (z wyjątkiem „Pomoru" rzecz zrozumiała). *Rządca, chłopka, jej mąż (czy kochanek)* stanowią ogniwa akcji. Wystarczy niekiedy wywiesić przed teatrem spis osób występujących w świeżo wystawianej sztuce, by przechodzień mógł opowiedzieć jej treść. Ta sama sytuacja jest i u Piętaka. Z góry wiadomo, że to wariant „Budnika" (mówię o największym z poematów, o „Zbiegu"). Ramoty o biednym chłopie raz jeszcze posłużyły za przedmiot poematu. Owa litość nad tymi, którzy cierpią, (no, bo Pan Bóg tak świat urządził) powracająca raz jeszcze do czytelnika, pozwala nam, umiejscowić poemat Piętaka gdzieś w pobliżu „Dziewcząt z Nowolipek". Płaczemy nad biednym chłopem i nad biedną drobnomieszczanką. Dlaczego? Pokrzywdzono ich erotycznie. Oto cała wina ustroju, oto jedyny zarzut, jaki można mu postawić. Tak więc z eksperymentatorstwa lirycznego powrócił Piętak do banału, do starej, filantropijnej piosenki o biednym chłopie.

CZUŁOŚĆ I SEN

„Dokąd prowadzisz mnie, do jakiego
z światów"

Piętak.

Odczytując powojenne wiersze Piętaka natrafia się od razu na nowy układ zdań, inny styl pisarski. Poeta woła:

O czasie smutny, z okrucieństwa piętnem.
Brat brata wydawał. Widziałem mord, zbrodnię
wśród bliskich. Aby nie zginąć, udawałem śmiech,
grałem głupca, czoło chroniłem w przygodną twarz
dziewczyny, która cieniem krzyczała gdym śnił.

Słowa są proste. Wróciliśmy do codziennych określeń mowy potocznej. Mówimy „mord", „zbrodnia", „okrucieństwo". Nazwano to odchodzeniem poezji, zerwaniem z wieloletnią szkołą artystostwa. Wskazywano na odnalezienie nowej tradycji, umiejscowiano przełom literacki zaraz w pierwszych dniach pokoju. Jedno nazwisko służyło do drogowskazu. Padało w każdej dyskusji o poezji. Rzucano je z emfazą: Ludwik Aragon. Wiersze jego wyprowadzano wprost od Ronsarda zapominając o innych protoplastach: o Moréasie i Maurrasie. Twórca wiejskich pejzażów stanął wobec wojny bezradny. Tak trzeba rozpocząć opowieści o utraconych złudzeniach wielu teoretyków, plasujących Piętaka na czele nowego nurtu, który ochrzczono na poczekaniu mianem realistycznego. Jaką poeta ów znalazł odpowiedź na wydarzenia, które poczynały go otaczać? Czułość i przerażenie. Nie umiał jeszcze reagować na nie inaczej. Potworne zjawisko nawiedziło ziemię. Odbyła się Apokalipsa. Zostaliśmy po końcu świata. Pisarze szukają nowego języka, którym moglibyśmy przemówić po wydarzeniach, które zdyskredytowały wiele pojęć, które obaliły wiele konwencji, jakimi bez wahania żonglowano do wojny. „Oczko bratka całowałem u cieniów bramy". Tym razem ocalenie poezji tkwi w czułości. Co chwila wracają zdrobnienia. Poeta jest zachwycony światem. Oto przeżyliśmy Apokalipsę, a wokół nas piękna wieś.

„Biedny Lolo żonę ma,
taką śliczną, taką rzewną!
żyje z nią już osiem lat,
więc kochają się na pewno;

gdy nadciągnie wieczór złoty,
patrzą w okno jak dwa koty.

A za oknem ruczaj kręty,
cztery brzozy i klon piąty,
cicha zima srebrny Anin...!
myśli Lolo: czy ja wiem...
zima... brzozy... coś jest w tem.

I powoli syty snem
budzi się w Lolu Polanin:
Te gazety, te problemy
sami sobie fingujemy,
Zaś tu wietrzyk brzozom, polom...

Hodowałbym troszkę pszczół...
Dużo bym się lepiej czuł...
Biedny Lolo!"

Pamiętacie chyba wszyscy tę czułostkowość, to Gałczyński — sentymentalny drobnomieszczanin: spokój, cisza, rodzina. Po prostu liryka familijna. Wieś Piętaka wyłania się z tej samej aury. Otacza ją sielankowość. Ten typ obrazu poszerzył teraz u autora „Linii ognia" swój zasięg. Z dawnych liryk, gdzie to widzieliśmy krowy, zboża, ludzi i drzewa wplecione w ornamentykę metafor, wtargnął i do nowych wierszy. Przypominam sobie dawnych znajomych, którzy co lato wyjeżdżali na wieś, na letniska. „My kochamy wieś" mówili, żegnając się ze mną. Gdy uprzytamniam sobie ich antyurbanistyczne ewokacje, ich zachwyty nad „przyrodą", myślę o poetyckim odpowiedniku tego entuzjazmu i znajduję go w tomie Piętaka. Do czasu tylko, do czasu. Zaraz bowiem tracę związki z przyjaciółmi i z wspomnieniami, gdyż przekraczamy granice rzeczywistości.

Odwróciłem się, a wtedy astrologiczne
niemal przyszło ujrzeć mi zjawisko. W uliczce,
która była mi znana, wśród tęczy prześlicznej
ktoś jechał nucąc na czerwonej, lśniącej bryczce
i puszczał jaskółki w rzęsy smutne jeziora. Stał
tylko dom biały i kwiat wielki, żywy,
że przestrzeń zdała się być od piękna chora.
Ptak przechodził powietrzem raz czarny, raz siwy.

Weszliśmy w sen. Wydarzenia rzeczywiste wiążą się z widzeniami. Majaczenia łączą się z faktami, oplatają je i kontynuują.

„Pikus na piersi ma już żelazne ordery,
lecz nagle plączą mi znowu się białe dzieje
i stają. Przy mnie idą ścieżką dziewczęta.
Jedna z nich niesie pawia i ku chmurkom się śmieje.

Miałem ach ująć mglisty czar niebu w akcję,
spadłem jednak z powrotem w jasność dnia,
i usłyszałem ojca ucieszną facecję..."

Mit poetycki zaczął się. Wielbiciele „Łąki" Leśmiana, do was kieruję te słowa, sięgnijcie po „Dom rodzinny" Piętaka. Konwersja tego poety była fałszywa. On nadal wierny został mitologiom.

Chcąc ustawić literacką działalność Piętaka na tle społecznym nie można czynić tego na ślepo. Wielu wulgaryzatorów metody socjologicznej ustalało już w tej dziedzinie bardzo niebezpieczne tropy. Jest strajk, a więc poetę mieszczanina ogarnia rzecz oczywista przerażenie. Z tejże zaś racji dysponujemy wierszami o śmierci. Podobne traktowanie genetyki w ramach kartezjańskiej psychologii, okazało się dziś aż nazbyt hipotetycznym, aż nazbyt niebezpiecznym. Należy dziś wyrzec się tych ryzykownych ścieżek. Ustawiając „Dom rodzinny" w aspekcie społecznym należałoby sięgnąć do środowiska, w którym obraca się autor, do odbiorców jego dzieł. Zaczynam rozprawę o drugiej Bohemie, tak bowiem nazywano cyganerię 20-lecia. W Polsce nie tworzyła ona takiego ghetta, jakim była w Paryżu dzielnica Montparnasse, dzielnica bez wyjścia. Kawiarnie przechowują do dziś historię pisarzy, inteligentów wydających własnym sumptem tomiki u Hoesicka. Piętak to jednak ktoś inny mówicie. Tak, macie rację. Jego życiorys jednak to już kompetencja socjologa a nie krytyka. Dla mnie Piętak zaczyna się od inteligenta, od członka cyganerii. Czechowicz, Rzeczyca, Michalski oto ci sami ludzie. Żyli z różnych środków, tworzyli mit artystycznego specostwa. Mieli tylko jedno zainteresowanie: literaturę. Usiłowali stworzyć profesjonalizm w najbardziej niestałym z zawodów. „Pisarz chłopski, pisarz ludowy" słyszałem o Piętaku. Pamiętam te ewokacje jeszcze teraz. Zrodziły je wypowiedzi Ignacego Fika. Pisarz uwarunkowany jest swym klasowym pochodzeniem. Oto formułka, w imię której ktoś, kto urodził się jako syn fornala np. zawsze będzie chłopem. Pisarz mieszczański musiał być zawsze synem kupca. Budujące, nieprawdaż. Otóż Piętak jest także niestety poetą „mieszczańskim". To znaczy dla mieszczan. Nie trudno ustalić dzisiaj środowisko, w którym cytowano „Pion" lub „Drogę". Lekarze, kupcy, nauczyciele przemysłowcy, no i poeci. A poza tym nikt. Leopold bywający u Arnolda, Arnold odwiedzający Pawła, Ryszard wspólny przyjaciel ich wszystkich. Na tym zamyka się krąg odbiorców. Zasięg literatury 20-lecia nie przekraczał zazwyczaj tych ram. Nie mógł przekraczać. Iwaszkiewicz nie pisał dla analfabetów. Czechowicz nie obliczał swych wierszy na robotników z niepełnym powszechniakiem. Kręgi kultury nie wszędzie są identyczne. Ci zaś, którzy zajmowali w nich stanowisko nadrzędne, przeznaczali swą twórczość dla tych tylko, którzy ją mogli pojąć. A komunikatywność w różnych środowiskach była zupełnie różna.

Giełda literacka

„Książka obyć się może bez podpisanego autora, jak niejeden podpisany autor obywa się bez prawdy".

Kołłątaj.

A. — O czym rozmyślasz?

B. — Jeśli to cię interesuje, o przeprowadzeniu rozwodu. Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to kłopotliwe.

A. — Oczywiście, w twojej sytuacji musi to być diablo trudne, musiałbyś się bowiem pierwej ożenić. Chyba, że to dzisiaj zrobiłeś.

— B. Mylisz się. Nie o rozwód z „nieznaną kobietą" mi chodzi. To rzecz dosyć konkretna. Zależy mi na przeprowadzeniu rozwodu literatury z „cmokierami".

A. — Mam wrażenie, że i to jest jakiś wymyślony problem. Znowu będziesz czegoś wymagał od literatury. Wszczynasz jakiś pryncypialny spór o literaturę i jej jakość. Wolę już realne postulaty kjw ze Szkoły krytyków Odrodzenia. Żąda on po prostu przeciętnej produkcji powieściowej, rzemieślniczo poprawnej, powieści z fabułą, lektury dla pożeraczy beletrystyki, by przeciwstawić się zalewowi tłumaczeń.

B. — Właśnie, ta recepta człowieka, znającego się na literaturze jest moim punktem wyjścia. W naszym życiu kulturalnym istnieje jakaś fałszywa hierarchia wartości, odwrócony porządek i kolejność w ocenie zjawisk. Czy byłeś w Teatrze Popularnym na *Fircyku w zalotach?*

A. — Ze wstydem muszę ci się przyznać, że nie. Chciałem zobaczyć *jak* to wystawiono, jak grają, ale na popremierowe przedstawienie nie warto prawie chodzić...

B. — Otóż w tym właśnie sprawa. Ty i tobie podobni chcieliby zobaczyć, jak wystawiono Fircyka. Nie obchodzi was prawie wcale *po co* go wystawiono. I teatr temu ulega. Orientuje się na tobie podobną publiczność premierową, lekceważąc czasem całkiem wyraźnie pospolitego widza. Jednym z przykładów może być spektakl tegoż Fircyka na popołudniówce dla szkół 3 b.m. Wyraźnie zlekceważono sobie najwdzięczniejszą publiczność teatralną — młodzież, grając byle zbyć, usuwając balet. Podobnie w literaturze. Co ambitniejsi beletryści orientują się w trosce o nieśmiertelność swoich nazwisk na sądy szczupłej garstki „cmokierów" literackich, smakujących każde „jak". W ten sposób puszczają wodę na młyn głupich, płytkich i niedokształconych, znających tylko „ostatnie nowości" snobów literackich, którym wydaje się, że wyrokując w teatrze przede wszystkim o teatralnych zabiegach, w literaturze o „michałkach stylistycznych" — wiedzą, co to jest literatura czy teatr, którym nawet wydaje się, że tworzą kulturę literacką w Polsce. Pisarz dla „cmokiera" to także przede wszystkim osobnik bywający w tej samej „artystycznej" kawiarni — śmiesznej giełdzie literackiej, gdzie gesty literackie zastępują osiągnięcia, gdzie rej wodzą głupie gęsi mieszczańskie, powtarzające głupstwa i komunały. Nazwisko autora jest tu ważniejsze niż jego głupota czy mądrość, lub sprawa przezeń poruszana. Zwalnia to pisarzy z odpowiedzialności za słowo i wysiłku twórczego. Biografistyka pisarzy, beletrystów bywa śmieszna, ale o wielu dzisiejszych pisarzach tyle się powie, co o ich „nowościach". Ich życie i twórczość jest „na niby" i „na niby" traktuje je rzetelny, przeciętny czytelnik. Charakterystyczną np. pozycją była rzecz jednego z najzdolniejszych naszych pisarzy Stanisława Dygata (Jezioro Bodeńskie). To nie jest tylko sprawa autonomicznej fikcji literackiej. Zwróć uwagę, że „zaraza" by użyć wielkiego słowa, wdziera się także do pism literackich. „Odrodzenie" staje się siekańcem autorów. Andrzejewski — miast pisać dobre powieści — zastępuje z żenującą swobodą krytyka wznowień w *Dzienniku lektury.* Kjw. pada często ofiarą obowiązku, maglując w braku własnego tematu — cudze, dobitniej sformułowane sądy (np. Jastruna), by tylko wypełnić rubrykę *Szkoły krytyków.* Niebezpieczna jest ta przewaga nazwisk czy strawnych dla „strasznych mieszczan" rubryk i nazwisk nad problemami. O eklektycznych Nowinach Literackich lepiej nie mówić. Mimo usiłowań redaktora, nuda wieje z tego pisma. Wolę już czytać katolickie pisma literackie. Więcej w nich twórczej ambicji, choć nie podzielam ich światopoglądu. Uff! zmęczyłem się..

A. — Chodźmy więc gdzieś...

B. — Do Fraszki.

Franciszek Salezy Kalibańczyk.

Witold Jedlicki

KATOLICKI POWRÓT DO NATURY

„Jesteśmy świadkami jak za dni naszych starły się z niezwykłą siłą dwie postawy duchowe, dwie cywilizacje. Jedna z nich głosi typ życia osiadłego, jak najściślej związanego z naturą, druga, której wykładnikiem jest industrializm i rozpowszechniająca się urbanizacja opowiada się za życiem sztucznym, w zasadzie koczowniczym".

Tymi słowami rozpoczyna swój artykuł Józef Marian Święcicki w nr. 46-47 „Tygodnika Warszawskiego".

Skąd ten problem?

Przejście od feudalizmu, w którym dominowało rolnictwo jako podstawowy sposób produkcji do kapitalizmu, którego podstawowym sposobem produkcji był przemysł, odbyło się w różnych krajach, w różnym czasie i z różnym nasileniem, począwszy od XVI (Niderlandy), a skończywszy na XVIII w. Jeżeli w takich krajach jak Polska czy Rosja proces ten odbył się chronologicznie później, było to dowodem wyjątkowego opóźnienia rozwoju historycznego tych krajów. Proces ten był conditio sine qua non postępu społecznego i technicznego, nastąpić musiał na skutek ciągłego dążenia człowieka do wyższych form produkcji, zwiększających jej masowość. Ustrój polityczny, nie pozwalający na swobodny rozwój nowych form gospodarki został obalony. Fakt ten dobrze znany w historii mógłby być nauką dla tych, którzy chcą powstrzymać postęp społeczny. Tymczasem w wieku XX, Anno Domini 1947 po ostatecznym i całkowitym zwycięstwie koncepcji tecno-kratycznej, (jeżeli mamy przyjąć terminologię autora) w systemie produkcji zjawia się pan Święcicki i stawia sprawę w ten sposób: My dzisiaj mamy możliwość wolnego wyboru: powrócić do natury, czy zostać przy technokratyzmie. Od czego zależy wybór? Oczywiście od sumienia chrześcijańskiego. P. Święcickiemu technokratyzm wyraźnie się nie podoba: „Pod wpływem postępującej industrializacji i urbanizacji ulegają nadwątleniu wszystkie szczeble naturyzmu. Człowiek w sztucznych niezdrowych warunkach życia miejskiego degeneruje się biologicznie, traci bogatą bujność pierwotnej natury. Następuje rozkład życia osiadłego, rozluźnienie węzłów rodowych a nawet i rodzinnych. Pozbawiona więźby obyczajowej, narażona na różne pokusy wielkomiejskiego życia mniej odporna jednostka zatraca moralność przyrodzoną, a w zetknięciu się z płytkim racjonalizmem, charakterystycznym dla tego środowiska także i wyniesione z domu przekonania religijne".

W bardzo nęcący sposób przedstawia nam p. Święcicki wizję powrotu do natury. Jednostka, oprymowana w ustroju technokratycznym zyska wolność osobistą, nie będzie narażona na przyprawiające ją o zgubę pokusy życia wielkomiejskiego od utraty wiary począwszy, a na degeneracji biologicznej (pamiętne słowa Alfreda Rosenberga) skończywszy. Ale to nie wszystko. Będzie mogła wieść osiadły tryb życia, założyć rodzinę (tylko bez środków prewencyjnych — o tym także p. Święcicki pamięta) i już nareszcie skończy z tym niespokojnym koczowniczym trybem życia charakterystycznym dla wielkiego miasta przemysłowego. A więc — wsi spokojna, wsi wesoła powracaj, a ideał szczęścia osobistego będzie osiągnięty.

Byłoby tak niewątpliwie, gdyby nie to, że p. Święcicki dostrzega również niebezpieczeństwa naturyzmu: „Jeżeli się więc opowiada wyraźnie za naturyzmem, to oczywiście nie za tym co w nim jest cielesnego, biologicznego, ale za tym, co w nim jest z Bożego ustanowienia niezmiennym wiekuistym podłożem człowieczeństwa". Co jest tym niezmiennym podłożem również wyjaśnia nam p. Święcicki: „Poza dyskusją powinny być takie dla chrześcijańskiej duszy pewniki, jak ten, że są — z samego prawa natury, wszczepionego w serce człowieka przez Stwórcę — pewne węzły, których nigdy i nigdzie nikomu naruszyć nie wolno, które starsze są od społeczeństwa i państwa, obdarzone szczególną bożą sankcją, jak rodzina, dalej to, że w stosunkach ludzkich istnieje pewna hierarchia wartości, która nakazuje nam w miłości bliźniego czynić pewne stopniowanie, uwzględniać, że wobec bliskich, powiązanych z nami różnego rodzaju serdecznymi węzłami, mamy większe obowiązki, niż wobec dalszych i mniej spokrewnionych. (Pokrewieństwo bierzemy tutaj nie tylko w dosłownym, ale przenośnym znaczeniu, nie tylko jako pokrewieństwo krwi, ale i jako pokrewieństwo ducha, pokrewieństwo cywilizacji). Wreszcie nienaruszalnym musi być prawo przyrodzone, które przecież chrześcijaństwo uważa za podstawę swej moralności". I dalej parę słów o realizacji takiego stanu rzeczy: „Niezmiernie więc ważnym jest, aby znalazł się taki czynnik, który by sublimował wartości naturalne i chronił je od wypaczeń, który by pilnował tego, aby niższe pokłady naturalne były podporządkowane wyższym, aby naturyzm nie zwyrodniał w jakiś kult biologicznych instynktów, węzły zaś krwi w nieludzką koncepcję rasizmu jak się tego do syta oczy nasze niedawno napatrzyły. Doświadczenia dziejowe wykazały dowodnie, że tym czynnikiem może być tylko chrześcijaństwo". Ale pan Święcicki nie opowiada się całkowicie za powrotem do natury. Zadaje sobie pytanie, czy w obronie wartości naturalnych należy zlikwidować cywilizację techniczną. P. Święcicki rozumie, że „nie można stać na stanowisku prymitywnego, pierwotnego naturyzmu, który konsekwentnie idąc, musiałby zatrzymać ludzkość na najniższym szczeblu barbarzyństwa". Ale co robić? pyta p. Święcicki. Przecież technokratyzm, to zguba ludzkości, to utrata wiary w Boga, to oprymacja jednostki, to degeneracja biologiczna, to koczowniczy tryb życia, a tu trzeba się z tym pogodzić, bo inaczej będzie barbarzyństwo, co lojalnie, jakkolwiek wyraźnie wbrew swoim upodobaniom p. Święcicki przyznaje. Ale nie przerażajmy się, bo jest wyjście. Gdzie? Oczywiście w duchu. „Nie trzeba też udawadniać, że sprawy twórczości duchowej winny górować nad produkcją materialną, która temu pierwszemu zagadnieniu winna być całkowicie podporządkowana, bo są to kwestie jasne dla każdego spirytualisty i tylko materialistyczne systemy, obojętne, marksistyczne (sic!), czy kapitalistyczne mogą je zakwestionować". I dalej: „Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że rozwój maszynizmu zagraża w pierwszym rzędzie osobowości, która, jeśli duch ludzki tutaj nie zainterweniuje skutecznie, nazbyt łatwo w tym systemie jest traktowana na kształt rzeczy, jedynie jako jeden z elementów produkcji i ulega na skutek bezdusznej pracy niebezpiecznemu dla zdrowia psychiki procesowi automatyzacji".

Z tego wniosek: „Pogodzenie postępu technicznego z naturalnym stylem życia w taki sposób, żeby techniczne udoskonalenia nie pociągały za sobą obniżenia naturalnych wartości jest jednym z najpilniejszych i najważniejszych zadań współczesnej doby".

Zatrzymajmy się chwilę nad sposobem myślenia autora. Jest on niewątpliwie a-naukowy, na co składa się kilka przyczyn:

1) Ahistoryczność myślenia. Autor odrzuca konieczność dziejową postępu społecznego, przyjmując, że w dowolnym momencie historycznym w mocy ludzkiej (a właściwie w mocy ducha ludzkiego) jest powrót do niższych form gospodarki lub dążenie ku wyższym. Mniejsza o to, że autor nie opowiada się konsekwentnie za naturyzmem, chodzi o to, że autor stawia problem tak, jakby konsekwentny powrót do natury był możliwy i zależał jedynie od wolnej woli człowieka.

2) Stawianie tez nie popartych faktami dowodowymi. Mnie osobiście na przykład nic nie wiadomo o tym, kiedy i w jaki sposób chrześcijaństwo ocaliło ludzkość od rasizmu.

3) Używanie pojęć wieloznacznych, mogących mieć znaczenie tylko w wypadku ścisłego zdefiniowania, czego autor nie czyni (np. duch, osobowość, szczególna Boża sankcja, więźba obyczajowa, zwyrodnienie natury, niższe i wyższe pokłady naturalne itp.).

4) Dogmatyczność. Przyjęcie pewników, nie popartych doświadczeniem. Z tym jednak musimy się pogodzić. To przecież wynika konsekwentnie z metodologicznych założeń filozofii katolickiej.

Idea powrotu do natury pojawia się po raz pierwszy u Jean Jacques Rousseau i preromantyków. W literaturze XIX i XX wieku ilekroć się zjawia np. u Charles Baudelaire'a („W postęp mogą wierzyć tylko głupcy"), czy Jean Arthur Rimbaud'a, czy wreszcie u tylekroć cytowanego przez autora z takim namaszczeniem Aldous Huxley'a daje się łatwo wytłumaczyć socjologicznie. Jest rzeczą znaną i powtarzalną w historii kultury, że krytyka wartości kulturowych wytworzonych przez własną klasę rozpoczyna się od idealizacji okresu poprzedzającego dominowanie tej klasy i tendencji powrotu do tego okresu. Przed mieszczaninem, świadomym upadku własnej klasy, tworzy się właśnie taka wyidealizowana wizja poprzedniego okresu. Powrót do niego byłby zapobieżeniem wszelkiemu złu, przeciw któremu buntują się ci pisarze.

W Polsce apoteozą wsi była charakterystyczna dla środowiska inteligenckiego pochodzenia szlacheckiego. Bankructwo ekonomiczne na skutek kapitalizacji miast i ustawy o uwłaszczeniu chłopów było przyczyną masowej emigracji tego elementu do miast. Proces ten oceniony przez samowiedzę społeczną tej klasy jako deklasacja wytworzył nieosiągalny w praktyce ideał powrotu do dawnej świetności dworu wiejskiego.

Ale ciekawe — dlaczego tym poglądem szermuje katolicyzm? No, niewątpliwie, trudno jest zapomnieć dawne dobre czasy z dominantą kulturalną, ekonomiczną i polityczną Kościoła, te dobre czasy, kiedy każdego niewygodnego oponenta można było unieszkodliwić przez klątwę lub wyrok inkwizytorski, kiedy cała nauka i sztuka służyły „pro Deo et Ecclesia", kiedy można było naprawdę poszczycić się tym, że jest jedna owczarnia i jeden pasterz. Trudno zapomnieć i warto powrócić. Czy naprawdę ma pan na to nadzieję, p. Święcicki? Ja sądzę, że pański projekt „syntezy" naturyzmu i technokratyzmu świadczy o tym, że pan zdaje sobie sprawę z tego, że coś trzeba odstąpić, z czegoś zrezygnować. Ale przy tym nie tracić nadziei. Może te dobre czasy, kiedy szlachcic polski władał przy poparciu autorytetu moralnego kościoła „sielską i anielską" wsią, chociaż nieco zmodyfikowane, powrócą...

Walery Osmenda

JESZCZE O „WSI DOSKONAŁEJ"

— „Zwiedzając Lisków nie zbudowałem się nim tak jakbym powinien. Zwiedziłem gigantyczną pracę jednego człowieka — proboszcza, który zorganizował wieś „na wyrost", który górując intuicją, inteligencją nad jej masą stanął na czele jak wódz wiodący szeregi do boju zdyscyplinowane, słuchające go ślepo i za nim idące".

Tak rozpoczął swój artykuł w numerze 39 „Wsi" p .t . „Wieś doskonała" Józef Kapuściński — pisarz chłopski i stary, wytrawny działacz społeczno - chłopski.

Taki a nie inny wstęp Kapuścińskiego dowodzi jednej bardzo ważnej rzeczy: mianowicie, że Kapuściński nie jest zwolennikiem **organizowania** życia wsi przez Kościół i jego sługi, że nie zgadza się na koncepcję **wsi kościelnej**, którą w najlepszym, wzorcowym kosztownym wydaniu cechuje: ...„przerost organizacji na zewnątrz a wewnątrz **konserwatyzm** (podkreślenie moje) i obojętność na sprawy własne"...

Kapuściński, w swojej wypowiedzi początkowej, odrzucił po prostu **zacofanie, bierność, ciemnotę, skrępowanie**, które uwidaczniają się w odpowiedziach chłopów z Liskowa, przytoczonych przez Kapuścińskiego. Gdy Kapuściński pytał czy są dumni z tego, że ich wieś taka sławna usłyszał odpowiedź:

— „To mnie nie obchodzi, to ksiądz prałat robi". Drugi natomiast zapytany dlaczego pobielił stajnię tylko od ulicy a od podwórza nie, odpowiedział:

— ...„musiałem bo ksiądz prałat nakazał — a po tej „paradzie" będę mógł ją **może** (podkreślenie moje) przebudować".

Kapuściński zrozumiał sens i ciężar tych odpowiedzi, na dnie których spoczywa świadomość własnej **chłopskiej** nicości, ograniczenia, skrępowania, bezsiły, apatii, nie ma bowiem żadnego czynnika, który potrafiłby uwolnić wolę gromady od dyktatorskich metod **księdza prałata**. To jest zrozumiałe. Nie jest tylko zrozumiałe **dlaczego** Kapuściński przeciwstawia endecko - sanacyjnej koncepcji wsi, która miała być wzorcem a tym samym narzędziem ideologicznego oddziaływania na klasę chłopów, które na określonym odcinku historycznym miało ujarzmić siły chłopskie i unicestwić budzącego się ducha demokracji ludowej, wieś galicyjska z 1900 roku, którą od Liskowa dzieli przecież także poważna suma przemian politycznych, ekonomicznych, społecznych, kulturowych.

Kapuściński przeciwstawiając Liskowowi wieś galicyjską z 1900 roku nie odbiega zasadniczo od podporządkowania jej indywidualnym „dyktatorskim" zdolnościom jednostek. Chodzi mu jedynie o to, że na miejscu **księdza prałata** powinien być dziedzic, nauczyciel lub obydwaj razem, co zresztą było możliwe tylko w początkach ruchu ludowego albo raczej w okresie budzenia i krzewienia ducha narodowego, który miał uchronić naród polski przed pożarciem go przez okupantów w przeszło stupięćdziesięcioletniej niewoli.

Lisków, mimo, że był sławny i piękny, nie podobał mu się dlatego, bo chłopi nie czuli się tam swojo, bo wszędzie widać było tylko „wolę" **księdza prałata**. Wieś z 1910 roku zaś, o której mówi, podobała mu się dlatego, że wybudowano w niej dwa piękne budynki szkolne murowane, że zorganizowano Straż Pożarną, kasę Reiffeisena, sklep. Kółko Rolnicze, gospodę chłopską. Za świadectwo postępu uważa szutrowaną drogę do miasteczka, we dworze nowe gatunki zboża, ziemniaków, nowe rasy bydła, kur, no i wykłady dziedzica w Kółku Rolniczym na różne tematy z przezroczami i patefonem. Kapuściński zamyka, jakgdyby dla podkreślenia, sumę tych osiągnięć wybudowaniem w środku wsi kościoła, co wygląda w jego zestawieniu na ukoronowanie wszystkich osiągnięć wsi.

Porównajmy teraz Lisków z tym, co podobało się Kapuścińskiemu w cytowanej wsi z roku 1900—1910, którą była, jak dowiedzieliśmy się z numeru 43 „Wsi" (J. Kapuściński. „Uzupełnienie „Wsi doskonałej") rodzinna wieś Kapuścińskiego Lipniki, położona w byłym woj. lwowskim. Porównajmy zupełnie objektywnie.

Kapuściński wymienił wszystko co zaszło w jego wsi rodzinnej od roku 1900 aż do drugiej wojny światowej i znał tę wieś tak jak każdy z nas zna swoje miejsce rodzinne. Nie mógł twierdzić i nie twierdził, że w Lipnikach już nie ma nic do zrobienia, że wszystko już zrobiono.

Lisków ujrzał Kapuściński świeży, wyrosły jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, z ładnymi domkami, ogródkami, kościołem, szkołą, sierocińcem, warsztatami rzemieślniczymi, spółdzielnią handlową itp. Lisków na pewno był ładniejszy od jego rodzinnych Lipnik.

Dlaczego więc Kapuściński przekłada to czego dokonano w Lipnikach nad to co przedstawiał Lisków?...

Kapuściński oglądając Lisków uświadomił sobie, że wieś ta wybudowana jest przez reżim, który odpowiedzialny jest za doprowadzenie do klęski klasy chłopów i stoczenie jej na dno nędzy.

Zrozumiał tę wielką prawdę, która leżała u podstaw intencji „prałata", aby wieś, dając jej nową oprawę i urządzenia, cofnąć do modelu wsi z roku 1900. Twórca Liskowa pragnął, aby chłop znalazł się pod ścisłą kontrolą i zarządem, którego zadaniem jest nie dopuścić nigdy do wyzwolenia się z mas chłopskich energii twórczej.

Dlatego Kapuściński oglądając Lisków powiedział o nim, że cechuje go... „wewnątrz konserwatyzm i obojętność na sprawy własne".

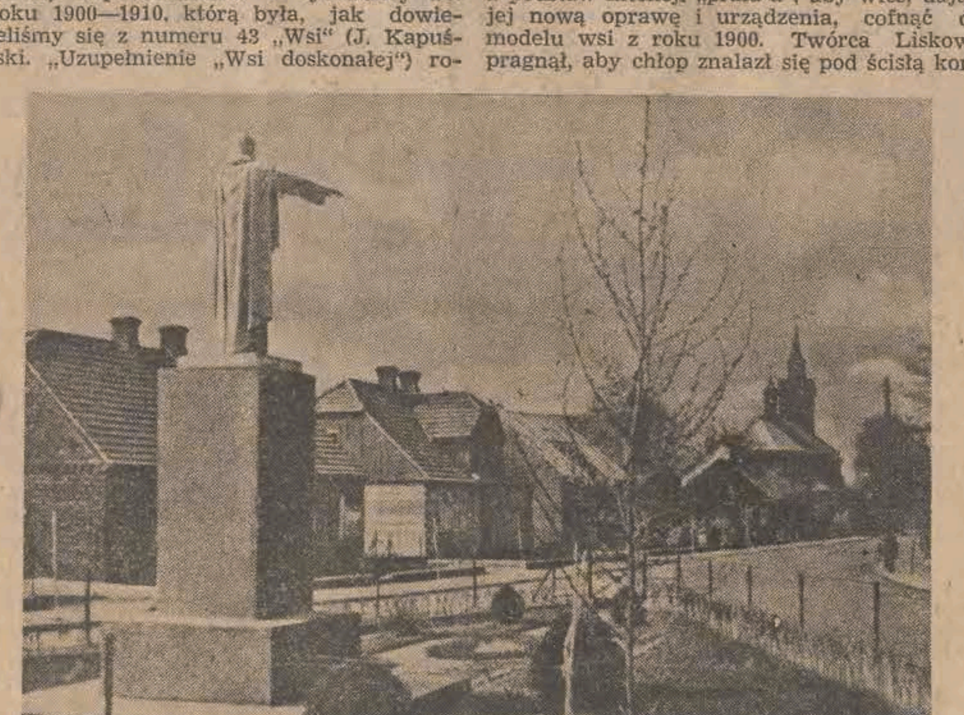
Ambicją Kapuścińskiego, jako starego działacza chłopskiego, było porównać znane mu z jego działalności wsie i przeciwstawić je Liskowowi. Kapuściński przeciwstawiając Lipniki Liskowowi nie zrozumiał jednego, że **modelowi** ideologicznemu wsi doskonałej stworzonemu przez panującą klasę przeciwstawił **rozwój** wsi, którego motorem były społeczne siły twórcze. Chodzi tutaj więc o dwie różne rzeczy, które nigdy ze sobą się nie pokryją, bowiem pierwszy cechuje **despotyzm** a drugi **liberalizm** gospodarczy i społeczny.

Czy więc Kapuściński przeciwstawiając Liskowowi rodzinne Lipniki, operując uogólnieniami przedstawił nam różnicę zasadniczą pomiędzy Liskowem a Lipnikami i wykazał niezbicie wyższość jednej z nich nad drugą, czy, jednym słowem, przedstawił nam model wsi doskonałej? Nie. Kapuściński chcąc wykazać błędność założeń twórców Liskowa, musiałby przeciwstawić mu również **ideologiczny** model wsi doskonałej.

Kapuściński przeciwstawił więc Liskowowi, który jest wzorem wsi „doskonałej" stworzonym przez ustrój sanacyjny, tylko sumę osiągnięć zdobytych własną pracą chłopów z Lipnik.

Tu właśnie leży zasadnicza różnica w pojęciu wsi doskonałej, że Lisków był modelem polityczno - ekonomiczno - społecznym wsi, był cząstką ideologii, ściśle uwarunkowaną jej wymiarami, w której wszystko jest ładnie ułożone i powiązane i nie zdolne jest niczym zamącić spokoju klasy rządzącej. Dlatego to Kapuściński narzeka, że Lisków cechuje ...„przerost organizacji na zewnątrz a wewnątrz konserwatyzm"... Lisków, wiemy o tym wszyscy, to była koncepcja wsi „doskonałej" zrodzona z ideologii endecko-sanacyjnej.

Jaka jest koncepcja wsi w ustroju Demokracji Ludowej w Polsce? Podstawowym warunkiem koncepcji wsi w ustroju Demokracji Ludowej w Polsce jest stworzenie na wsi jak największej liczby racjonalnie prowadzonych gospodarstw rolnych, co zostało zapoczątkowane przez Reformę Rolną, czyli powiększenie zdolności produkcyjnej ziemi, zlikwidowanie bezrobocia na wsi i zarazem powiększenie konsumcji przez wieś. To jest podstawą do budowy życia społecznego i ekonomicznego wsi, które w obecnej chwili obserwujemy.



LISKÓW

ŻYCIE I PRACA PISARZA

Jerzy Falenciak

MOJE POKOLENIE

Droga Koleżanko Anno!

ODPOWIADAM punkt po punkcie na Twoje pytania.

1. Obecnie zajmuję się prawem antycznym. Historia prawa jest moim naukowym zawodem. Opracowuję zagadnienie stosunków prawno - administracyjnych w okręgu Oxyrhynchos za czasów rzymskich i bizantyjskich. Oxyrhynchos było miastem w dawnym Egipcie — dzisiaj Behnesa. Mój problem należy do papirologii prawniczej. Nim ukończę to studium potrwa rok a może i więcej.

2. Napisałem jeszcze przed wojną a po wojnie odtworzyłem na nowo pracę pt. „Umowa o przewóz statkiem według prawa rzymskiego". Gdybym kiedy miał ją wydawać to w wyciągach albo skrócie, bo w całości nie warto.

Wkrótce ukaże się mój artykuł w miscellaneach" wydawnictwa „Journal of the Juridical Papyrology" na temat pewnego papirusu zawierającego umowę darowizny, dokonaną na podstawie pomieszanego prawa rzymskiego, greckiego i arabskiego.

3. Jeżeli tę moją pracę naukową można nazwać działalnością pisarską, to jest to działalność trwała, na codzień, mniej więcej po cztery godziny.

4. Trudno mi powiedzieć, czy tej pracy można już w tej chwili wyznaczać jakąś funkcję społeczną. Myślę jednak, że wszystko, co napisałem dotąd do „Wsi" („Od Świętochowskiego do Śreniowskiego", „Co to jest naród?" itd.), ma w stosunku do moich głównych zainteresowań naukowych charakter autonomiczny i jest wyrazem moich społecznych kompleksów — jakby to określił Jan Aleksander Król.

5. Nie uważam się właściwie za pisarza, moje uzdolnienia literackie były zawsze mierne. Gdybym miał kiedy pisać „sposobem literackim" to chyba jedynie pamiętnik, ale na to czas, gdy będę stary. Bodźcem do napisania pamiętników byłaby dla mnie chęć pokazania mej własnej drogi, od kultury „ludowej" do kultury narodu, a może i dalej — świata.

Ciekawa była moja szkoła średnia. Byli tam i chłopi, pamiętam dwóch, jeden Wójcik a drugi Pietrzak. Wójcik obnosił się ze swą chłopskością a Pietrzak wstydliwie zadeklarował się, że „tata mo cegielnium". W pierwszej klasie los mi dał za sąsiada w ławce niejakiego Zylberbarta, syna introligatora z ulicy Smoczej. Przede mną siedział Dulewski, grywał na maleńkich organkach mokotowskie poleczki. Jego ojciec był bodajże dozorcą w więzieniu. Takich Zylberbartów i Dulewskich było nas w szkole ponad trzy czwarte wszystkich uczniów.

Z inteligentów pamiętam dobrze Zbigniewa Trylskiego. Gdy go poznałem miał dziesięć lat, nie rozróżniał między butem z lewej nogi a butem z prawej nogi, co cieszyło nas. Wprowadził mnie w zdumienie swym lewicowym nastawieniem przez wychowanie domowe. Do tego czasu sądziłem, że lewica to robotnicy i większość chłopów, prawica znów to dziedzice, księża, organiści, sklepikarze i inteligenci. Rozumowałem, że syn robotnika albo chłopa staje się przez wykształcenie endekiem, nawet, gdyby jego ojciec nie był endekiem. Widywałem co prawda robotników (tramwajarzy) chadeków i endeków, lecz nie przypuszczałem przez chwilę, że zdarzają się socjaliści nie robotnicy. Był to rok 1921, komunizm odrzucałem i zamadlałem się do nieprzytomności w ucieczce od wyczerpującej mnie i osaczającej ze wszystkich stron problematyki.

Trylski zginął podczas okupacji powieszony przez Niemców pośród pięćdziesięciu członków Gwardii Ludowej. Obok niego zawisnął nasz nauczyciel fizyki Dobiszewski.

Z Trylskim łączyła mnie wspólna cecha — chorowitość. Dystansował nas w tym uczeń Stefan Kisielewski, blondyn o twarzyczce indyczego pisklęcia, także inteligent w skali i gatunku Trylskiego. Przychodził do szkoły cztery razy do roku po trzy dni, pierwszego września, przed Bożym Narodzeniem, przed Wielkanocą i przed letnimi feriami. Odpowiadał wtedy na stopnie w cenzurze. Nie był przyzwyczajony do pisania kredą na tablicy i stawiał na niej litery i cyfry tej wielkości, co piórem w zeszycie. Uczył się w domu, zaziębiał przy lada okazji i nosił od jesieni do wiosny damską wełnianą czapę z bomblem oraz kilometrowy szal.

Ksiądz prefekt, który rozumował podobnie jak ja, uważał nieliczne dzieci inteligenckie w tej szkole — nie robotników, nie chłopów i nie Żydów — za „niewyraźne". Nie lubił też Kisielewskiego. Bardziej jeszcze niż Trylskiego, bo ten w ogóle nie chodził na lekcje religii, a ojciec Kisielewskiego był podobno publicysta w „Robotniku". Podejrzewał go przy tym, że jest wychrzczony, bo pacierz słabo umiał, nie lepiej niż dwóch neofitów (uczeń F. i uczeń D.) z naszej klasy. Jeżeli się nie mylę, to jest on tym samym, który dziś podpisuje się skrótem „Kisiel" i jest szkarpą prasy katolickiej w Polsce.

Ze starszych wyliczę, już wtedy, poetów: Lucjana Szenwalda, który zasłynął w szkole przekładem na łacinę piosenki operetkowej p.t. „Gdy zobaczysz ciotkę mą". Zaczynała się ona od słów: „Dzieweczka na balu szaleje", co w przekładzie Szenwalda brzmiało: „Puella in ludis violata". Stała się hymnem szkoły od 1 do 8 klasy. — Potem Roman Kołoniecki—ślicznie recytował i czytał. Obok nich Grunwald — dziś malarz i grafik. A dalej — znany amerykański specjalista atomowy prof. Złotowski, też zahaczył o naszą szkołę.

Ciekawym co wyrosłoby ze mnie, gdybym chodził na przykład nie do tej szkoły, a do Górskiego albo Reja?

6. Najbardziej cenię z twórczości związanej ze wsią, pamiętnikarstwo.

7. Jest jeden temat, który wysunąłbym pod adresem Polskiego Instytutu Socjologicznego. Chodzi mianowicie o kulturę czy socjologię tzw. „pekinów".

Co to jest „pekin" a właściwie co to było, bo „pekiny" zniknęły prawie doszczętnie razem z przedwojenną Warszawą? Znała je także Łódź. Poczęły wyrastać jak grzyby po deszczu pod koniec ubiegłego wieku, głównie na warszawskich przedmieściach, na Mokotowie, Woli, Ochocie, Czerniakowie i Sielcach. Były one wielopiętrowymi kamienicami o jednoizbowych lokalach wzdłuż mrocznych korytarzy. Gnieździła się w nich biedota ze wsi, osiadła na stałe w rozbudowywanej ciągle Warszawie.

Wiem od mojego ojca, że owe domy tę azjatycką nazwę otrzymały od otartych o świat lokatorów — weteranów armii carskiej, walczących kiedyś przeciwko chińskim Boxerom. I tym to właśnie weteranom, zamieszkiwane przez nich i ich rodziny nory przypominały jako żywo Pekin miasto, największe skupisko kulisów, nędzarzy jak i oni. Stąd też określenie „pekin", synonim warszawskiej i łódzkiej nędzy robotniczej a przy tym miano obskurnego budynku.

Liczono pekiny na Puławskiej, na Langnerówce — Chocimskiej (tam zamieszkałem), na Madalińskiego, Czerniakowskiej, pekiny furmanów, murarzy, śmieciarzy, przekupniów, tramwajarzy, kolejarzy. W jednych z nich struktura zawodowa mieszkańców przedstawiała się jednolicie, w innych nie. W każdym zaś razie zawód najliczniejszy w Pekinie przesądzał ogólną cechę fachową jego lokatorów.

Pamięć chińskiego powstania nie była powszechna wśród warszawskiego ludu, ale za to przeszczepiona z daleka nazwa miasta istnieje w języku „warszawskich rodaków".

Widocznym znamieniem „pekinu" była niesforność, kłótliwość i awanturniczość jego mieszkańców, po większej części robotników bez kwalifikacji, czy też z kwalifikacjami nie rzemieślniczymi, albo rzemieślniczymi podrzędnymi. Ogół bohaterów Wiecha, takich jak „Walery Wątróbka" i „szwagier Piekutoszczak", to postacie warszawskiego lub praskiego „pekinu", o prototypach zanikających, jeśli już nie zanikłych. Tacy zaś jak „Teoś Piecyk" i „pan Krówka", jako oderwana od robotnika dołowizna drobnomieszczańska, żyją i będą żyć długo, bo zmierzch pekinu nie jest ich kresem. (Byłoby pytanie pod adresm Wiecha: z czego ci dwaj żyją?).

W okresie dawniejszej emigracji wiejskiej do Warszawy zdarzało się, że ten i ów pekin zaludniał się lokatorami i sublokatorami (tych najwięcej) z jednej okolicy, protegującymi się, pracującymi w tych samych fabrykach. Częściej jednak przygarniał przybyszów z różnych stron (gdy „czarnoszyjec" spod Garwolina sąsiadował z „dzwońcem" spod Grójca, a Podlasiak z Kurpiem), zabierających ze sobą święte obrazy i własną lokalną „kulturę ludową", tak jak Rzymianin udający się na zawsze do hellenistycznego Egiptu wynosił ze sobą swe prawo i religię.

Wtedy kolizja zwyczajów nie uniknięta przy najmniejszej choćby sposobności, przy zwoływaniu wieczorem rozbieganych dzieci, przy sąsiedzkich kłótniach, przy przepijaniu do siebie, przy tańcu, na weselach, chrzcinach, w zalotach, w chorobie, w zarzekaniach, przysięgach, w bójce, w klątwach, w przekomarzaniach, kpinach, śpiewie a często nawet z okazji modlitwy, czy pogrzebów.

Ta różnorodna „kultura ludowa" trwała w ciągłym stanie różnicowania i scalania zarazem dzięki współżyciu jej przedstawicieli przez krótki nawet czas. Nie małą przy tym rolę odgrywają dwa podstawowe elementy pekinu: wspólne korytarze i podwórko.

A potem jeszcze relacje „kulturotwórcze" poszczególnych pekinów między sobą. Czy do momentu silniejszego wpływu „kultury wielkiego miasta" (Marszałkowska, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście) nie ma w tym hipersyntetycznej „kultury ludowej", ba — chłopskiej, którą tu nazwałbym „kulturą pekinu"? Zapomnij, że to wszystko ze wsi a nic z tego nie rozszyfrujesz.

Tylko, że agraryści i personaliści tego akurat nie nazwą swoją kulturą, bo niby wieś stworzył Pan Bóg a miasto diabeł. Ta ich „kultura ludowa" obejmowała — i obejmuje — wieś bez czworaków i bez samopomocy chłopskiej, podług cenzusu morgów a jeszcze lepiej — włók. Więc jak ma objąć nieszczęsny „pekin"!?

Otóż i **temat** wskazany przeze mnie.

Pozdrawiam Was wszystkich

Józef Bieniek

STANCJA ZA SKLEPEM

BY PRÓBY pisarstwa mojego ocenić pod kątem właściwym, trzeba je ujrzeć na tle specyficznych warunków — tych rozlicznych trudności i kłopotów, które absorbują niemal w całości mój czas i energię, zasypują zadatki talentu i możliwość jego rozwoju piaskiem pospolitych trosk o kawałek chleba, o zelówki, o koszulę. Oto mój dzień powszedni, podobny jeden do drugiego, niby cegły w murze. Prowadząc sklep, obecnie spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej, zaczynam pracę latem o godzinie 5-tej, zimą o 7-ej. Trwa to z małymi przerwami do późna w noc. Spółdzielnia na wsi musi się jeszcze stosować do wymogów i zwyczajów ludności, która większość zakupów dokonywuje dopiero po pracy, w godzinach wieczornych.

Przy tym lokal spółdzielni uważany za pewnego rodzaju świetlicę, czy klub, gromadzi co wieczór młodzież i starszych — ot tak dla pogawędki, z przyzwyczajenia, dla zabicia czasu. Wiele godzin pochłania prowadzenie zespołów tańca ludowego, teatralnego i chóralnego. Resztę zajmują przygotowania do wykładów rolnictwa w dwóch ośrodkach szkoleniowych PRW oraz same godziny lekcyjne. Wieczorem obkuwam z pomocą samouczka piękny język rosyjski.

Normalny mój dzień pracy kończy się latem o 23—24, zimą o 21—22. Podobno bywa w tygodniu niedziela, kiedy ludzie mają zwyczaj odpoczywać. Dla mnie jednak jest ona dniem specjalnej udręki, gdyż zaraz po przyjściu z rannej mszy zaczynają się odwiedziny sąsiadów, kolegów, krewnych, znajomych i nieznajomych, którzy mają zawsze ten sam interes — napisanie prośby, pogadanie o wszystkim i niczym itp. Jest zwyczaj, że tego dnia odbywa się po kilka zebrań, na których — no jakże — wypada być.

Faktem jest, że na pracę pisarską pozostaje tylko i jedynie noc. Wtedy to, na wąziutkim marginesie życia, powstało te kilkadziesiąt artykułów, reportaży, felietonów i „listów", jakie zdążyły się ukazać we „Wsi", „Odrodzeniu", „Tygodniku Powszechnym", „Ruchu Muzycznym", „Poradniku Muzycznym", „Teatrze Ludowym", „Miesięczniku Ludowym", „Dzienniku Polskim", „Dzienniku Literackim" i „Wiciach".

W tej chwili mam na warsztacie rzecz o teatrze ochotniczym na wsi, większy reportaż z działalności spółdzielni w Tymbarku i kilka mniejszych artykułów na różne tematy, naszkicowanych z grubsza już dawniej, a nie wykończonych ze względu na brak czasu. W przyszłości chciałbym — oczywiście o ile warunki na to pozwolą — wykończyć sztukę dla scen wiejskich, zaczętą jeszcze ubiegłej zimy.

Praca w handlu, do którego trafiłem raczej przypadkiem, przez pomyłkę, wbrew moim najistotniejszym zamiłowaniom, nie daje ani odrobiny satysfakcji, ani tym bardziej bodźca, czy tematu dla pracy pisarskiej. Społecznikowstwa, w szerszym znaczeniu tego słowa, też nie uprawiam — bo i kiedy — więc też pisarstwo moje, jak też rodzaj i skala zainteresowań, wybiegła dosyć daleko poza obręb własnego i dookolnego bytowania. Mimo to przecież wszystko co piszę wiąże się najmocniej i nierozerwalnie z wsią i chłopem, a najsilniejszym bodźcem w działalności pisarskiej jest właśnie ów konflikt psychiczny z przerażającą mizerią życia chłopskiego i gorące pragnienie jak najrychlejszych przemian. Troska o lepsze jutro wsi, o ludzki wyraz chłopskiego bytowania jest tak silną, że wszystko wobec niej staje się nieważne. To też wątpię czy potrafiłbym pisać, gdyby obraz wsi jaki w sercu noszę nie kolidował tak często i ostro z otaczającą mnie rzeczywistością.

Jest nas rzec można dwóch. Jeden — zwyczajny sprzedawca, co przez dzień cały waży sól, nalewa naftę, użera się z pijanymi chłopami i wysłuchuje beznadziejnej paplaniny klientów, w której ani przez „lupę" nie odkryje choćby ziarenka głębszej myśli czy troski i zabiegu o wzbogacenie uczuć i pojęć— oraz ten drugi, kiepski filozof, mędrzec po czwartej powszechnej, uparty samouk, który w późną noc ślęcząc nad ćwiartką papieru pragnie z opornej bryły słowa wykuć dzwon o czarodziejskim dźwięku, zdolnym obudzić serca ludzkie zastygłe w martwocie, nieczułe na gorący zew wielkich przemian, szumiących z taką siłą po całym świecie.

Nic też dziwnego, że takie pojęcie roli słowa drukowanego najlepiej pokrywa się z publicystyką. Ten bowiem gatunek pisarstwa poprzez częstotliwość i łatwość dostępu do mas społecznych, oraz szeroką skalę zasięgu pozwala pasji twórczej wyładowywać się najpełniej, znajdując szerszy rezonans, oraz daje szanse przeprowadzania doraźnych ataków na bastiony zła, torując konsekwentnie drogę pochodowi przemian.

Historia mego pisarstwa prostą jest jak życie samo. Niewiadomo tylko skąd to na mnie przyszło. Nie z matki zapewne — dobrej i kochanej, ale też aż do przesady skromnej i prostej. Ani też z ojca, wsiowego kowala i muzykanta. Choć kto wie? Gdy wspominam jego postać zdaje mi się, że była w nim jakaś nieodkryta i nienazwana wielkość, która rozsadzała tę dziwną duszę i ujścia znaleźć nie mogła. Potężny chłop, wiecznie milczący, nachmurzony i zły, postrach wiejskiej hołoty, niezmiernie surowy i trudny we współżyciu, łagodniał dopiero przy skrzypcach. Ale i wtedy, gdy napadła go chandra lub złość, zrywał się i prał co pod rękę wpadło. Bywało, że całe wesela ławą rozganiał, a gromady najzaciętszych bitników uciekały w popłochu przed jego pięścią, walącą z piorunową siłą.

Może to właśnie wtedy wyładowywały się przyrodzone siły, które w innych warunkach społecznych i gospodarczych objawić się mogły najwyższej klasy twórczością pisarską czy muzyczną.

Ze mną byłoby też nie inaczej, gdyby nie osoba nauczycielki miejscowej, starej szlachcianki, zwolenniczki ks. Stojałowskiego. Ona to zaopiekowała się mną, jako „najinteligentniejszym dzieckiem w szkole" wszczepiając we wrażliwą duszę umiłowanie piękna i sztuki. Jej bogata i starannie dobrana biblioteka stała się dla mnie oknem, przez które zobaczyłem świat pełen zachwycających spraw, dzieł i ludzi. Jej wskazówki „ilustrowane" wieloma dziesiątkami książek wypchnęły mnie z ciasnego kręgu tradycyjnej samowystarczalności na szeroki gościniec, w niespokojny pochód po wiedzę i dobroć.

Obcując wciąż z książkami i pismami zaraziłem się chorobą pisania. Gdy przy pasieniu krów brakło książek, a nuda żreć zaczynała, wziąłem się sam do pisania. Może Mickiewicz, dlaczegóż by nie mógł Bieniek? Kleciłem więc — oczywiście wiersze, oczywiście potworne. Gdzieś do dziś leży zachowany bruhon z tamtych krowskich czasów, z krowską twórczością w postaci bzdurnych rymów pod tytułem „Wiersze pastucha".

Później zakochałem się w „Ikacu", a ściślej mówiąc w jego felietoniście Nowakowskim. Nie było niedzieli, choćby najobrzydliwszej, bym nie pędził 7 km. do miasta specjalnie po numer „Il. Kuriera Codz." z niedzielnym dzwonkiem Zygmunta. Pod jego wpływem popełniłem kilkanaście felietonów, z których parę drukował lokalny „Głos Podhala". Na ten czas też przypada praca w Tow. Szkoły Ludowej i szereg artykułów oświatowych, zamieszczonych w prasie tej organizacji. W tej pracy skorzystałem niezmiernie dużo, dokształcając się pod kierunkiem nieocenionego kierownika prac oświatowych i sekretarza Okręgowego Zarządu TSL majora Marcinka Stanisława.

Potem przyszła wojna. Wstrząśnięty klęską Polski, o której niepokonanej mocy słyszało się tyle szumnych deklaracji i w którą wierzyło się święcie i kochało całą mocą młodego serca — przez rok nie wziąłem pióra do ręki. Ale gdy trafiłem w podziemie, znów nałóg pisania odżył w fascynującym blasku skrytej Ojczyzny i oddał się cały na jej służbę. Pisało się wtedy wiele, pośpiesznie i gorączkowo, więcej dbając o treść niż formę.

Skończyła się wreszcie wojna na świecie, ale nie skończyła się w sercach ludzkich. A właściwie to dopiero wtedy rozpętała się druga wojna psychiczna, w której bronią były wątpliwości, nieufność i najróżnorodniejszego autoramentu urazy wobec nadeszłych przemian. W denerwujących użerkach politycznych, w fanatycznych podmuchach wszelakiej propagandy, w dręczącej rozterce pisarstwo moje nie miało możliwości rozwinąć się mocniej. Trzeba było wiele przejść, by wiele zrozumieć. I dziś pisanie moje spychane ciężkimi warunkami materialnymi cofnęło się na ubocze i wegetuje.

Osobiście nie martwię się tym zbytnio. Choć nieraz rąbiąc drzewo, czy zamiatając lokal sklepowy zadaję sobie naiwne pytanie, czy nie szkoda czasu na prace, które z równym powodzeniem mógłby wykonywać byle analfabeta i czy nie więcej przydałbym się Polsce i wsi pracując np. zawodowo w prasie chłopskiej. Miałem nawet wczoraj taki sen.

Powołany do prasy chłopskiej wyjeżdżam za granicę badać celniejsze osiągnięcia chłopów w innych krajach. Zbudziło mnie, niestety, walenie w drzwi i ochrypła a sprośna śpiewka pod oknem. Była północ i przyszedł spity łazik wiejski kupić kwaterkę wódki.

W OSTATNIM 47 (126) NUMERZE „WSI"
z dnia 7 grudnia 1947 r.:

FAKTY I ZDANIA

Zdrowie na wsi

„Wieś musi mieć lekarzy i to zaraz". Taki postulat wysuwa prof. dr M. Kacprzak („Wieś" Nr 44, „Pilna sprawa"). Problemu tego według autora nie rozwiąże się, gdy lekarzom pozostawi się wolny wybór miejsca praktyki; na tym odcinku również należy planowo gospodarować siłami fachowymi — **lekarzy trzeba na wieś skierować.**

Za takim rozwiązaniem problemu wypowiada się również stary działacz i publicysta chłopski Maciej Czuła:

„Nie będę sięgał przykładami do domów sąsiadów, ale w moim własnym domu na sześcioro dzieci umarło czworo, czyli 2/3, a uchowało się nas tylko dwoje, czyli 1/3 urodzonych dzieci. W ówczesnych czasach grasowały nie tylko nagminne choroby, ale było ich więcej, obecnie nieznanych. Mało kto np. pamięta groźną chorobę — tzw. „czwartaczkę", która męczyła ludzi co czwarty dzień, a odznaczała się silną w tym czasie febrą i wysoką gorączką. Stałym gościem u kobiet był kołtun, u dzieci biegunka, u starszych kłucie w „dołku". Leczono odczynianiem uroków, ziołami, puszczaniem krwi, smarowaniem całego ciała psim szmalcem, który także się piło. W lekarzy nie wierzono i w ogóle ich do chorych nie wzywano. Zastępowali ich znachorzy i znachorki, wędrowni szarlatani, lub stare, zgrzybiałe, wszystko wiedzące „babki". Czy dużo się zmieniło pod tym względem na lepsze w obecnej rzeczywistości?

Ciągle brak jest na wsi lekarzy, higienistek, a rzadko tylko ukazuje się na wsi jakiś prelegent pouczający lud o potrzebie higieny i czystości. Nie docenia się ciągle na wsi znaczenia zdrowia.

Można zrozumieć niechęć lekarzy do osiedlania się w zapadłych wioskach, bo lekarz jako inteligent potrzebuje kontaktu ze światem, biblioteki, kina, teatru, wygodnych mieszkań, oświetlonych ulic, restauracji, ale w każdej gminie, tam gdzie jest już kościół, szkoła, dom gminny i ludowy, gdzie są kulturalniejsi ludzie, bite drogi, blisko przystanek kolejowy, władze powinny bezwarunkowo desygnować lekarza".

Maciej Czula

Inne stanowisko zajmuje Aleksander Jakubowski, długoletni lekarz wiejski, założyciel szpitala w wiosce, w której od lat pracuje. Zna on dobrze trudne warunki pracy na gruncie wiejskim, dlatego w pierwszym rzędzie domaga się ich poprawy. Sprawę tę według niego winien w swoje ręce wziąć samorząd lokalny, on musi stworzyć dla lekarzy podstawy prawidłowego leczenia — rozszerzyć na wieś sieć szpitali, przychodni, ośrodków zdrowia. To według Jakubowskiego pierwszy warunek ściągnięcia na wieś lekarzy.

„Jestem przeciwny przymusowemu osiedlaniu lekarzy na wsi. Przymus był wprowadzony przed wojną pod postacią 2-letniego stażu na wsi. Najczęściej kończyło się na tym, że lekarz przymusowo osiedlony nie umiał i nie chciał zrozumieć wsi. Zresztą lekarz bez praktyki, wprost po studiach, stawał wobec zdarzeń, które przewyższały jego umiejętności. To podrywało wobec niego zaufanie. Lekarz się zniechęcał. W rezultacie tryumf przypadał w udziale znachorom. Moim zdaniem na wieś powinien iść lekarz z pełną świadomością ciążącej nań odpowiedzialności, lekarz, który lubi wieś i który zdaje sobie sprawę, że już do końca swego życia zostanie wiejskim omnibusem. Potrzeba tu wiele poświęcenia i nieomal rezygnacji z osobistej przyszłości. Moim zdaniem rzecz tę należałoby ująć inaczej. Mówi się „wieś woła o lekarza". Trzeba by powiedzieć: o lekarza woła chłop, gospodarz, kobieta przy porodzie, matka mająca chore dzieci. Nie dba natomiast o lekarza Zarząd Gminny, ani też władze powiatowe. Tu leży sedno sprawy. Co daje lekarzowi osiedlającemu się na wsi Samorząd? Nic! Lekarz musi mieć przecież mieszkanie, jakieś warunki do pracy i jakiś byt zapewniony. Nie można lekarza traktować na równi z szewcem, piekarzem, czy kupcem i powiedzieć: chcesz się pan u nas osiedlić? — proszę bardzo! Pracy lekarza na wsi nie da się porównać z pracą żadnego innego fachowca. To jest zawód zupełnie odmienny, to jest posterunek czynny bez przerwy dzień i noc bez względu na porę roku, święto, czy dzień zwykły. Praca ta zjada lekarza, pochłania go i odrywa od wszystkiego, co nie jest związane z jego zawodem.

Jeśli mamy dać wsi pomoc, to tam gdzie to jest możliwe, trzeba dać ją pełną — a nie namiastki. To są warunki, o które każdy lekarz zabiega i z powodu których ucieka ze wsi. Na te rzeczy władze powiatowe powinny mieć fundusze, a ci wszyscy, którzy przystępują do reorganizacji lecznictwa winni to mieć na uwadze. W przeciwnym razie, lecznictwo na wsi nie wiele postąpi naprzód".

Dr med. A. Jakubowski. Gidle

Amerykański dzień dziękczynienia

Poniżej podajemy tekst proklamacji Prezydenta Truman'a, wyznaczającej amerykański Dzień Dziękczynienia:

„Starszym od naszego narodu jest uświęcony zwyczaj odpoczynku po pracy w ciągu jednego dnia w okresie żniw i poświęcania tego dnia na wyrażenie wdzięczności Wszechmocnemu Bogu za wiele łask, które zlał na nas. Teraz, gdy krąg zamknie się wkrótce, należy znowu wznieść nasze serca w specjalnej modlitwie.

„Niech nasze tegoroczne dziękczynienie będzie połączone z pokorą, ze współczuciem dla tych, którym brak obfitości, dla tych, którzy są w potrzebie. Gdy będziemy wyrażać w modlitwie naszą wdzięczność za szczodre dary, powinniśmy pamiętać, że lepiej jest dawać, niż brać. Okażmy naszą pamięć o tym przez hojne dzielenie się naszym dostatkiem z potrzebującymi innych narodów.

„Dlatego ja, Harry S. Truman, Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, zwracam uwagę wszystkich obywateli na łączną rezolucję Kongresu zatwierdzoną dnia 26 grudnia 1941 r., wyznaczającą czwarty czwartek listopada bieżącego roku na Dzień Dziękczynienia. Obwołuję czwartek, 27 listopada 1947 r. jako dzień narodowego dziękczynienia, i zwracam się do ludności Stanów Zjednoczonych wszelkiej wiary, aby poświęciła dzień ten na myśli dziękczynne, modlitwy i silne postanowienie poparcia wysiłków robionych przez grupy wyznaniowe i inne instytucje, w celu dopomożenia niedożywionym, chorym, starcom i wszystkim cierpiącym w krajach zniszczonych przez wojnę".

Niedawno papież Pius XII w orędziu do Ameryki (patrz „Kuźnica" 8.12.) nazwał Truman'a i rząd USA **„wielkoduszną, pełną poświęcenia i nie działającą metodami przymusu władzą".**

A rzeczywistość? Gdzie są ci, „którym brak obfitości, którzy są w potrzebie, wszyscy cierpiący w krajach zniszczonych przez wojnę". Gdzie te kraje zniszczone — czy nie o Niemczech mówi przypadkowo proklamacja Trumana?

Oto jak spod pokrywki religijności i maski filantropii wyziera prawdziwe oblicze kapitalizmu. Oto jeszcze jeden objaw politycznego powiązania się USA z Watykanem.

Przeciwko strajkującej robotniczej Francji, przeciwko strajkującym Włochom, przeciwko walczącej o wolność Grecji, Indonezji, Chinom.

Krzysztof Martyński

„Płomień"

„Płomień" jest pismem dwutygodniowym dla młodzieży szkół średnich, nawet dla młodzieży licealnej, jak nas informuje redaktorka p. Izabela Górska. Wydaje je Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia". Przeglądamy numer z dnia 1 listopada b. r. Z okazji Zaduszek widzimy tu na pierwszej stronie artykuł „Groby Piastów" i zaraz potem jeszcze jeden artykuł okolicznościowy „Żyją w naszej pamięci"... Kto? Piastowie? Kusociński, Noja, Lokajski i inni lekkoatleci polscy. Zdrowo jest uprawiać sport. Ale po latach, w których straciliśmy tylu uczonych, pisarzy, działaczy, tyle dzielnej młodzieży, dziwimy się, że tylko o sportowcach się pamięta, tylko biegaczy przypomina się naszej młodzieży.

Artykuł „Młodzież na ekranie" w tym samym numerze jest niby wyjęty z przedwojennego „Kina". Napewno po przeczytaniu go wiele dziewczynek marzyć zacznie o karierze gwiazdy filmowej takiej jak Janina Żejmo i Marysia Broniewska. Ucierpi na tym szkoła. O filmie można chyba mówić jako o przejawie kultury, jak o sztuce, widzieć w nim problemy artystyczne i społeczne, a nie tylko malowane buzie „gwiazd". W końcu mamy w numerze parę artykułów popularnonaukowych i fragment powieści „M/S „Victoria" płonie" Janusza Meisnera, autora który i tak bez reklamy „Płomienia" byłby przez młodzież czytany, gdyż jest łatwy i czyni z wojny pełną przygód sensację.

„Płomień" opiera się na założeniach:

1) że pismo dla młodzieży nie musi mieć żadnej własnej koncepcji kultury, że może się składać z powyrywanych i połączonych luźno kart podręczników szkolnych;

2) że młodzież szkół średnich i liceów, to smarkateria, której trzeba dawać rzeczy t. zw. „lekkie", łatwe i bezideowe (Meisner. — Dlaczego np. nie Rudnicki?);

3) że dla młodzieży szkół średnich i liceów może sobie pisać byle kto i byle jak (zdawkowy artykulik o Rewolucji Październikowej).

Są to według nas założenia błędne.

P. Cz.

„Jajko i ja"

Dziwne zjawisko daje się zauważyć w naszym czasopiśmiennictwie. Jeszcze przed kilkoma miesiącami mieliśmy „Przekrój", „Żołnierza Polskiego", „Świat Młodych", „Tydzień", „Kraj". Każde z tych pism trzymało się odrębnej treści i całość składała się możliwie.

Nie dawno Jan Aleksander Król napisał ciekawy artykuł we „Wsi" p. t. „Dla kogo piszemy?", w którym dowodził, że nie zawsze na polu kultury i spraw społecznych to pismo spełnia najlepiej swe zadania, które posiada najwięcej czytelników i nie tylko to pismo jest potrzebne.

Z tym trzeba się zgodzić.

„Przekrój" z czasopism ilustrowanych posiada najwięcej czytelników, oczywiście wśród drobnomieszczaństwa. Nie znaczy to jednak, iż podobnego rodzaju pisma poza „Przekrojem" nie są potrzebne. Tymczasem te i inne pisma gonią za ilością czytelników i zdaje im się, że tego można dokonać tylko treścią zbliżoną do treści „Przekroju".

To jest nie tylko błędne, ale szkodliwe. — Jeżeli pisma wyżej wspomniane staną się „Przekrojem", to pozostanie w naszym życiu kulturalnym luka. Nie to kultura musi dać czytelnikowi, co on uważa za dobre, ale co jest rzeczywiście dobre dla kultury.

Zresztą i „Przekrój" nie jest bez grzechu. Aczkolwiek poczytny, od jakiegoś czasu karmi czytelników „Jajkiem i ja", a chociaż ta powieść doczekała się trzydziestu wydań, nie jest to jednak książka wartościowa, ani pisarz, podług którego można sobie wyrobić pojęcie o wysokiej wartości postępowej literatury amerykańskiej.

Autor „Syna Ameryki" dotychczas tą jedną książką bardziej się przyczynił do oceny kultury amerykańskiej, niż 30 wydaniami „Jajka i ja".

„Jajko i ja" w zupełności godzi się z wściekłą nagonką na „komunizm", z propagandą za potrzebą wojny i z koniecznością „zdemokratyzowania" w imię „pomocy" całego świata.

Jeżeli zajdzie potrzeba udowodnić Amerykanom, że San Marino zagraża Stanom Zjednoczonym, to będzie to myśl równie popularna wśród amerykańskiego kołtuństwa jak powieść „Jajko i Ja".

Nie jest zatem tak dobrze w naszej prasie ilustrowanej. A wielkie braki odczuwa w tym względzie nasza wieś. Nie tak dawno wyszło kilka numerów „Życia Wsi" i na tym się skończyło. Wiadomo, że wieś jest ociężała i nie odrazu rozchwytuje takie pisma, ale dać jej bezwzględnie trzeba w ilości w jakiej pójdzie. „Zaranie", „Zorza", „Gazeta Świąteczna" i dziś „Wieś" nie szły i nie idą milionami na wieś, a jednak roczniki ich zachowały się na wsi do dziś i są cenione przez wielu jak relikwie. Kultura nasza rośnie nie z ilości wydań, ale ich wartości różnorakiej i z potrzeb, jakie budzą.

Seweryn Skulski

Czyżby renesans średniowiecza?

W 48 (141) numerze „Tygodnika Powszechnego" *znajdujemy artykuł p. t.: „Kryzys naszych czasów"*, który wprost prosi o to, by został zaszczycony naszą notą. Niejaki (kt.) przedstawił nam poglądy hervardzkiego profesora socjologii — Sorokina. Pozwolę sobie zapoznać z nimi Sz. Czytelników. Otóż Sorokin stawia tezę, że „wbrew panującym przekonaniom cywilizacja nasza nie jest w stanie zamierania, lecz przekształcania się". Dalej mówi on, że ludzkość zna trzy istotne formy cywilizacyjne, które nazywa idealną formą (idéationelle), idealistyczną (idéaliste) i sensualną (sensorielle). Jak dotąd wszystko w porządku: poglądy Sorokina nie są niebezpieczne. Ale, posłuchajmy dalszych wywodów profesora uniwersytetu w Harvard. Sorokin zalicza do typu cywilizacji idealnych cywilizację średniowiecza w Europie Zachodniej (dlaczego tylko w Zachodniej?). Acha, jesteśmy w domu. Ludzie żyli wtedy — mówi Sorokin — jedynie myślą o zbawieniu wiecznym, filozofia i nauka służyły teologii, sztuka wyrażała kult człowieka dla Boga, król rządził z mocy prawa bożego (no, no, i pomyśleć, że ci biedni sankiuloci burząc Bastylię, burzyli prawo boże!).

Sądzę, że to wystarczy, aby poznać idee profesora Sorokina. I cóż winniśmy my uczynić teraz, aby wielkie, konieczne przemiany dokonały się w myśl Kazania na Górze? Sądzę, że powinniśmy przyoblec szaty pokutne i udać się na pustynię. Sądzę, że Żółkiewski z Kottem powinni zasiąść do pisania traktatu teologicznego o łasce uświęcającej, a Brandys i Rudnicki pisać powieść o pełnych chwały rządach monarchy z prawa bożego. Inaczej przyjdą „boskie energie atomowe", jak pisze „Rycerz Niepokalanej" i będzie koniec z grzesznikami.

Żart na stronę, panowie! Poglądy Sorokina są same w sobie nieinteresujące, ale kryje się w nich pewien aspekt żywo nas obchodzący. Otóż poglądy te są dziś bardzo popularne wśród naszej kołtunerii. Z nimi trzeba walczyć! Niech sobie Sorokin pisze i niech go czytają amerykańskie bigotki i amerykańscy sekciarze, ale gorzej, że i u nas tak piszą. Czytałem niedawno broszurkę ks. Klepacza „Ideały średniowiecza a doba obecna", w której ksiądz biskup afirmuje średniowiecze i nawołuje do powrotu doń. Mój Boże, Sorokin w sutannie!

Zdzisław G. Spieralski

Pomóżcie!

— Co było punktem kulminacyjnym obrad Zw. Zaw. Literatów we Wrocławiu?

— „Punktem kulminacyjnym rozprawy wrocławskiej stała się **chwila, gdy na mównicy pojawił się** Jerzy Zawieyski".

— Jak wygląda Żółkiewski i Zawieyski? (wybaczcie nieistotne dla obrad pytanie, — ciekawość jest wszak rzeczą ludzką)...

— „Trudno o większy zewnętrzny kontrast postaci — **renesansowo zmaterializowanej** Żółkiewskiego i **średniowiecznie uduchowionej** Zawieyskiego".

— Czy mają obaj cechy wspólne?

— „...już po pierwszych słowach autora „Rozdroża miłości" ujawnia się cecha wspólna: **przeświadczenie o słuszności głoszonej sprawy i świadomość mocnego oparcia o rzeczywistość kulturalną".**

*

Pytam, bo nie wiem. Lecz, co gorsze — pytam, otrzymuję odpowiedzi w trzech kolejnych zdaniach wstępnego artykułu „Tyg. Warszawskiego" (nr. 49, Jerzy Kierst: „Dwie postawy") — i nie rozumiem. Podkreślam sobie fragmenty istotne, które właśnie winny zaspokoić moją ciekawość — i wciąż ze wstydem przyznaję, nie wiem: jakie było najważniejsze wydarzenie obrad wrocławskich, jak wygląda Żółkiewski, jak Zawieyski, co ich intelektualnie łączy?

Przepisałem więc sobie na czysto pytania i odpowiedzi, i proszę — czytelnicy, pomóżcie. Ja bo zaplątałem się w mrokach **średniowiecznego uduchowienia.**

Jan Sygała

Dwa listy

„Do
Administracji tyg. „Wieś"
w Łodzi

Niniejszym uprzejmie Was proszę, abyście wreszcie przestali nadsyłać mi Wasze „cenne" pismo, a wraz z nimi jakieś upomnienia o prenumeratę. Na podobne błazeństwa nie mam pieniędzy! Czytam jedynie z ciekawości, co też myślą polscy marksiści.

Skąd macie mój adres? Ja otrzymuję dziesięć różnych pism, zaś opłacam w tej chwili tylko jedne miesięcznik, ten przez Was znienawidzony „Rycerz Niepokalanej". Oczywiście, nie popadam w ostateczność i Was nie potępiam. Kiedyś przejrzycie! Nieraz w mrowisku Waszych myśli też znajdzie się przecież coś rozsądniejszego.

Ja uważam, że przecież my, Polacy, ani tacy źli, ani głupi nie jesteśmy — jedynie jesteśmy zawsze przez życie dręczeni, a przez to rodzi się w nas niepotrzebna zawiść i nienawiść. Czas byłby, aby doszło do lepszego współżycia. Wy się odgradzacie naprawdę żelazną barierą od przeszłości, a to jest głupota. Dzieje ludzkie mają swój sens w całości, nie tylko w jakimś ich ułamku, nie tylko w tym, co dziś przeżywamy. One zawsze zmierzają do celu i napewno na dzisiejszych systemach i ustrojach, w których jesteście tacy zakochani — nie skończy się. Rozwój ludzkości pójdzie o wiele dalej i głębiej, niż Wasz wzrok sięga...

To mówię Wam ja, prosty chłop. Takich, jak ja jest tysiące, setki, miliony.

Proszę się dalej nie fatygować, bo jestem za mało „uposażony" na to, aby za badanie Waszych myśli płacić. Inne pisma otrzymuję za korespondencje, ale z Wami — trudna rozmowa.

Stefan Dabrowski
Zgierzynka, p-ta Lwówek Wlkp."

*

Szanowni Obywatele!

Znów wysyłam Wam 2 dolary na konto prenumeraty gazety „Wieś", która bardzo przypadła mi do gustu i proszę Was o dalsze kontynuowanie wysyłki gazety.

U nas w Ameryce wychodzą różnorakie ścierki, gałgany i szmaty, najrozmaitszych kierunków i orientacji, począwszy od „Serca Jezusowego", a skończywszy na legalnym „Londynie", co razem czyni wielką kupę, a w tym duże — nic! Czytelnik po przeczytaniu tych arcywesołych szpargałów i bajek o siedmiu cudach świata, momentalnie zapada w stan jasnowidztwa i odkrywa nowy ósmy cud „drogę na Zaleszczyki" i pyta się sam siebie, jak długo ci krzyżowcy myślą nas tumanić i obiecywać nam „mocarstwowość na dwa fronty".

My, starsi emigranci polscy w Ameryce, jesteśmy wyzyskiwani i pomiatani przez najrozmaitsze osobistości à la „Zmykołajczyk" do tego stopnia, że byle jakiś pan hrabia, generał, paniusia albo jakieś naczynie duchowne, pozuje na „wielką zbawczynię małej ojczyzny" a jest ich tysiące w Ameryce z „powrześniowe," Polski.

Obywatele! Życzę Wam pomyślności w Waszej wytrwałej pracy w uświadamianiu tego chłopa i robotnika polskiego, który może raz nareszcie stanie się istotą nietylko boską, ale i ludzką, który już nie będzie serwilistycznie emigrować poza oceany w poszukiwaniu kawałka chleba. Starajcie się utrzymać styl gazety na obecnym poziomie, a z pewnością Wasze zabiegi i dobre chęci będą solidnie wynagrodzone przez przyszłe pokolenia i Lud Polski.

Stanisław Grodzki
Listopad 29.1947 4444 Garvin Ave
Detroit 12, Mich. USA

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40,—zł, kwartalnie 120,—zł, półrocznie 240,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—024205